2 Tomy

ROK LXIV.

N° 1.

KURJER WARSZAWSKI

Dnia 1 stycznia (20 grudnia)

1884.

NOC SYLWESTROWA.

Było to — — — jednego z tych lat dwudziestu haswerusowskiej włóczęgi po wszystkich gościń- ach Europy, — na jednym z tych barłogów twar- dych, na których się spędzało noce marzeń bezsen- nych, gorączkowe...— jednej nocy sylwestrowskiej ak samotnej jak inne, we cztery oczy z dawnemi bólami lub przyszłem cierpieniem.

Na zegarze biła północ przeciągle, powoli, zło- wrogo, jakby czas zatrzymał się w pędzie... biła i iewała znużona.

Powieki ociężałe kleił sen niezdrowy. Ciemnik nózgu rozjaśniła jakaś łuna z początku blada — spała, podnosiła się z widnokręgu jak powieka, po- woli ku górze... i poczęła drżeć blaskiem zodjakal- nym. I przed oczyma ukazał się cyrk-koloseum, wielki jak świat. Wśród niego na olbrzymim prze- stworze, łańcuchy gór zębate, śnieżne, białe i czarne... piętrzyły się i opadały w doliny wielkie... we wzgórza lasami pokryte, jak zwierz skórą najeżoną włosami... Puszcze leżały jak niedźwiedzie rzucone na grzbiety nagie... Pośrodku szumiały morza — leżały wyspy jak wieloryby śpiące... Miljony ludzi rozproszonych stały, leżały, wlokły się, oczekując nowego widowiska... W głębi zapadała zasłona, czarna jak całun, za uchodzącym zgrzybiałym rokiem niedoli. Jedni pędzili za nim, pałkami mu grożąc, drudzy u nóg jego wisząc wstrzymywali—wlókł ich za sobą... Tuż rozwierała się zasłona różowa i przez łuk zwycięzki uwieńczony kwiatami wjeżdżał na arenę Rok Nowy.

Jechał młody pan na złocistym rydwanie, z włosami rozwianemi dokoła głowy, ale oblicze nieprzejrzystą maską było okryte, która zwolna zsuwać się miała z tajemniczej jego twarzy... Za wozem jego szło ich dwanaście, okrytych tajemniczemi opony, a przy każdym z nich pachołków szło kilkudziesięciu poodziewanych dziwacznie, orężnych i bezbronnych... Przy każdym z nich kręcił się rój dziewcząt białych. czarnych, szarych, pstrych, płaczących i śmiejących się do rozpuku.

Pochodu końce ginęły gdzieś w dalekich mrokach—wlókł się powoli. Muzyka z niebios grała mu pieśń niezrozumiałą. Jedni w niej słyszeli radosne wybuchy, drudzy jęki, inni groźby i przekleństwa.

I w obliczu Roku miljony widzów z dołu upatrywały czarnego kata, który niósł stryczki i miecze; drudzy miłosiernego światłości anioła. Wydawał się strasznym jednym, drugim wesołym... I głosy sprzeczały się z sobą:

— Stare dekoracje! pomięte stroje! zgniłe w garderobie gałgany. Światło jaskrawe... muzyka fałszywa uszy rozdzierająca. A zawsze toż samo! Dyrektor psu na budę, reżyser wart postronka! Bilet każdy życiem płaci, a patrzeć nie ma na co?!

— Co za urok! jaka świeżość—co za harmonja urocza. Klaszczmy im w dłonie. Nigdy nic podobnego nie widziano na arenie... Nowi artyści arcymistrze—dyrektor genjalny—przedstawienie arcydzieło! Czujesz woń w powietrzu... skropiono arenę!... sypcie oklaski....

Cisza—syki wężów słychać z jednej, śmiech głupich ptasząt z drugiej strony.

Na scenie farsa i tragedja uderzają się łokciami. Pogrzeb przerzyna wesele, chrzciny zatrzymały trumnę... Trup skostniałą ręką błogosławi czy urąga dziecku siwemu już w kolebce...

A rok górą płynie wolno, wolno, odsłaniając coraz oblicze na pół zgrzybiałe, pół dziecięce...

— Nic nowego pod słońcem!

— Niewyczerpana rozmaitość... Nic się nie powtarza. Nie ma dwu liści podobnych, ani dwu dni jednakowych, od świata początku. Niewyczerpana twórczość natury... Mastodonty spać poszły, miljony bakteryj zajęły ich miejsce. Wieki postępu! Filoksera i trychiny! Inaczej byłoby przeludnienie...

— Formy zawsze jedne i formuła taż sama... tylko co lodowników nie widać. Cywilizacja się kończy, nowa epoka od dzikości rozpocznie... Płótno Penelopy bez końca...

— Formy jedne, ale coraz słabsze odlewy... Ziewać się chce! Partacze...

— Złudzenia! mrzonki, widziadła... Nic rzeczywistego... wszystko się rozpada w ręku... Idźmy spać...

Wrzawa rośnie... Za górami słychać trzask walących się gór i szum uciekającego morza... wulkan wybucha śmiechem ognistym i gaśnie... Ruiny kładną się spać w pustyniach... a lasy z drugiej strony trzebi zajadła siekiera zniszczenia. Dzicz burzy świątynie — wojska oblegają grody — krew płynie, pieśń miłosna gra nad strumieniami, kończąc się kaszlem suchotniczym... Mrok zwolna zapada z góry...

Z tłumów na drewnianych szczudłach wydobywają się bohaterowie w purpurach jedni, w białych szatach drudzy, inni w łachmanach... W ręku jednych miecz, u drugich pióro, u trzecich dzwonki błazeńskie... Jeden ma usta rozdarte krwawo, a z czaszki próżnej dym kłębi się w górę; drugi głowy pozbył z ramion.. tłum niesie tułów na karkach—gromady pędzą za niemi w przepaście, na góry... Wiatr w powietrzu chorągwie szarpie na sztuki... Dwa chóry bólu i wesela ciągle się zlewają z sobą...

Z pustyń i kamieni wyrastają ludy nowe... gdy na gruzach rosną już puszcze... urągowisko leci górą i swiszcze...

Słychać do drzwi pukanie... Powieki zwolna się podnoszą. W zielonym fartuchu, ze szczotką w ręku jednym, z drugą wyciągniętą żebraczo stoi posługacz przedemną... Winszuje... czego? życzy? czego?

Pociąg za kwadrans odchodzi! Rachunek i dalej... Dalej w drogę.... *usque ad finem*!

J. I. Kraszewski.

W ALBUMIE.

Nieraz mnie w lesie kwiatów zatrzymała rzesza,
Ściśniętemi kolumny w górę strzelająca,
Patrzyłem jak ich barwa przeróżna się miesza,
I wesoła i wonna śmieje się do słońca.

Kto was kwiatki w to miejsce takim rzucił tłumem?
Co zieloność i bujność, świeżość wam zasila,
Że z wietrzykiem tak wonnym gwarzycie mi szumem,
I pszczół roje zwabiacie i skrzydło motyla?

I rozgarnąłem kwiaty i pod liściem bujnym,
Pod mchami, rozwiązanie znalazłem zagadki:
Poupiętrzane, wieńcem podwójnym, potrójnym,
Na trupie jodły, młode usiadłyście kwiatki!

Każdy z was, z piersi tej zmarszałej bierze
To śniegi, to korale, to lazury nieba,
Na wonne, na godowe, wiosenne odzieże,
Szumiąc: „wszystko mam, Panie! nic mi nie potrzeba!"

Dziecię! na grobach starców kwiaty tak nie rosną!
U zimy lodów — czego wonna szukasz wiosno?
Kwitnij, woń mi! Na ciebie mi patrzyć z daleka,
Myśleć o wiośnie, która... nie tu mnie już czeka!

Karol Brzozowski.

Tripoli, 1879.

AUGUSTYN FRĄCZKIEWICZ.

Z nielicznego grona osób, otoczonych u nas powszechnym szacunkiem kilku pokoleń, w ostatnim dniu kończącego się roku śmierć zabrała nestora nietylko matematyków naszych, lecz można powiedzieć nestora naszych tu uczonych.

Zmarły Augustyn Frączkiewicz, od chwili, gdy w r. 1828-ym objął obowiązki profesora ówczesnego królewsko-warszawskiego uniwersytetu, stale już w nim przebywał i aż do zamknięcia szkoły głównej warszawskiej należał zawsze do składu wszystkich, jakie tylko w tym perjodzie były w naszem mieście najwyższych instytucyj naukowych.

Nie dziw więc, iż zrósł się z otoczeniem, które ceniąc w nim nieskazitelny charakter i głęboką naukę, patrzyło nań wciąż, jako na najzacniejszego z przewodników młodzieży i hołd mu ogólny przy każdej sposobności oddawało...

Ś. p. Frączkiewicz urodził się w r. 1798-ym w Kurozwękach, w ówczesnem województwie krakowskiem, w rodzinie mieszczańskiej. Początkowe nauki pobierał w Staszowie, a od r. 1807-go do r. 1814-go w gimnazjum kieleckiem. Na uniwersytet jagielloński zaczął uczęszczać w r. 1815-ym, a już w październiku r. 1818-go został w nim zastępcą profesora matematyki niższej. W r. 1819-tym przyjmuje posadę nauczyciela w gimnazjum kieleckiem, zkąd jednak w roku następnym wraca do Krakowa i jako nauczyciel gimnazjum św. Anny przebywa tam do r. 1828-go.

W roku 1819-tym ogłosił już w Krakowie obszerną pracę „O gnomonice analitycznej". W r. 1824-m uzyskuje tamże stopień doktora filozofji na podstawie rozprawy łacińskiej o twierdzeniach Couchy'ego odnoszących się do zbieżności szeregów, którą tamże drukuje, oraz ogłasza kilka rozpraw z algebry i geometrji czystej w „Rocznikach" towarzystwa naukowego krakowskiego. W tym czasie odbywa podróż do Francji, w której zbliżył się ze sławnym ówczesnym matematykiem Couchy'm, z którym stosunki naukowe długo później utrzymywał.

Wskutek konkursu, ogłoszonego przez uniwersytet warszawski, na mocy rozprawy o metodzie nauczania matematyki wyższej, we wrześniu r. 1828-go został na tymże uniwersytecie profesorem algebry i rachunku wyższego. Głęboka nauka, wielkie oczytanie, jasność wykładu, przygotowywanego zawsze z wielką starannością, trzeźwy pogląd na wszelkie sprawy bieżące, otwartość bezwzględna jego odpowiedzi, gdy o cokolwiek był zapytany, niczem niezamącona pogoda charakteru, zwróciły nań uwagę ówczesnego świata naukowego. Z tej to epoki datowała się ta cześć powszechna, to ogólne uznanie, któreśmy my, młodzi, wstępując do szkoły głównej, dostrzegali u wszystkich posiwiałych już wtedy mężów, zawsze z prawdziwym szacunkiem, z jakąś czcią szczególną postępujących z Frączkiewiczem...

W owej epoce zaczął on przyjmować udział w pierwszem specjalnem piśmie naukowem: *Pamiętnik umiejętności czystych i stosowanych*, które tak niedługo istnieć miało.

Gdy zstąpił z katedry uniwersyteckiej, nie przerwał studjów matematycznych. Śledził bieg nauki, czytając nietylko rozprawy naukowe, lecz także zaznajamiając się z podręcznikami, jakie odzwierciadlały postępującą wiedzę. Życie pędził zamknięte, przez cały czas poza obowiązkowemi zajęciami przerabiając drobiazgowo rzeczy czytane. Wiele też takich zeszytów notat pozostało po nim świadcząc o cichej pracy naukowej nad sobą. Gdy zważymy, że ówcześnie nie było z kim podzielić się wynikami tych studjów, to tym więcej ocenimy prawdziwe jego zamiłowanie do nauki.

W r. 1834-ym przyjął Frączkiewicz obowiązki nauczyciela gimnazjum gubernjalnego w Warszawie i bezpłatną posadę adjunkta obserwatorjum astronomicznego. W następnym roku został członkiem komitetu egzaminacyjnego, w składzie którego przebywał do r. 1853-go. Kiedy w r. 1836-ym utworzono kursa dodatkowe, które później w r. 1842-im przekształcono na pedagogiczne, powierzoną mu została posada profesora matematyki czystej, jaką zajmował do ich zamknięcia w r. 1849-ym.

W r. 1853-im otrzymał emeryturę i jeszcze więcej odosobnił się, wciąż pracując nad tem, aby być na równi z postępem wciąż się rozwijającej matematyki; w tym czasie ogłosił kilka artykułów w *Bibljotece warszawskiej* (1844—1860).

Możnaby zauważyć, dlaczego żadnej pracy obszerniejszej nie wydał. Wspomnijmy jednak, jakie to były czasy... Dla kogo można było coś wtedy z matematyki wyższej ogłaszać? Ktoby zresztą to wydał? Wśród ogólnego ówcześnie zastoju naukowego Frączkiewicz dał dowód wielkiej siły charakteru, iż nie zaległ pola, że, nie zważając na warunki otoczenia, pracował nie dla jakiegoś praktycznego wytkniętego celu, lecz pracował dlatego tylko, iż naukę umiłował, że jej postęp go obchodził, że pracować potrzebował.

Gdy więc w r. 1862-m otwarto w Warszawie Szkołę główną, powołany na profesora matematyki, mógł godnie odpowiedzieć tym obowiązkom, choć inni w takim wieku już zwykli tylko o wypoczynku myśleć.

Szacunek, jaki go otaczał, znalazł wtedy swój wyraz w tem, iż margrabia Wielopolski powierzył mu w otwierającej się wszechnicy godność dziekana wydziału matematyczno-fizycznego, a wybory w kolegjum profesorskiem powoływały go zawsze na członka rady ogólnej tej instytucji.

Tu nam staje na myśli audytorjum Frączkiewicza... Zawczasu w komplecie zgromadzeni, zapełniwszy zawsze salę po brzegi, przekonani, iż prawdziwą korzyść odniesiemy, czekaliśmy jego przybycia. Równym krokiem, z pogodnem obliczem, ufny w nasze uznanie, wchodził Frączkiewicz na katedrę. Zaznaczywszy ostatnie punkta poprzedniego wykładu, prowadził rzecz swoją dalej. Spokojnie, wyraźnie, zawsze pewny swego, rozwijał myśl główną, starannie ją akcentując i oddzielając od rzeczy drugorzędnych. Głos starca równy, a jednak nie monotonny, rozlegał się wśród bezwarunkowej ciszy, przerywanej tylko skrzypem piór tych, którzy notowali. Oryginalne niekiedy jego zwroty, mówienie przy tablicy na stary sposób w drugiej osobie, to było jedyne, jeżeli tak można powiedzieć, urozmaicenie wykładu... Choć szczegółowo każdy punkt sobie przygotował, to jednak, mając zwyczaj patrzenia w oczy słuchaczów, gdy dostrzegł, iż coś jest jakby nie odrazu należycie pojmowane, natychmiast robił uzupełnienia i rozwinięcia szczegółów.

Wykład bywał dwugodzinny bez przerwy i bez tak zwanych kwadransów akademickich. A jednak nigdy nas nie nużył. Frączkiewicz bowiem posiadał tę właściwą miarę w sposobie traktowania wykładu, która nie każdemu jest dana. Nie popularyzował nigdy, ale zawsze odpowiednio wykład stopniował, a właściwem sobie przedstawieniem tego, czego uczył, umiał w słuchaczach budzić zajęcie prawdziwe, wywoływać studjowanie gruntowne przedmiotu, nie dla egzaminu tylko, lecz dlatego, aby posiąść to, o czem mistrz mówi...

Dodajmy jeszcze, że Frączkiewicz nie ograniczył się w szkole głównej na wykładzie kilku działów przedmiotu swojej katedry. Przeciwnie. W miarę otwierania coraz nowszych kursów, coraz nowe gałęzie brał za przedmiot swoich lekcyj, a nawet wtedy, gdy już wszystkie kursy były w życiu, przybierał wciąż jeszcze nowe działy.

Z zamknięciem szkoły głównej, Frączkiewicz

znów się usunął z szerszej widowni. Jednostajne chwile samotnego życia zapełniał i dalej pracą, może już nie tak usilną, lecz zawsze nieprzerwaną. Na kilka dni przed śmiercią, od kilku tygodni zbolały, robił jeszcze uwagi o świeżo nadesłanej mu przez autora książce matematycznej, napisanej przez jego niegdyś kolegę w szkole głównej.

W ostatnich dniach, przewidując zgon bliski, Frączkiewicz zatroskał się o wywoływanie i podtrzymywanie u nas ruchu naukowego na polu nauk matematycznych, drobiazgowo rozważając i z ulubionym swoim uczniem dyskutując sposób, w jakiby to urzeczywistnić najlepiej można było.

Składamy więc do mogiły człowieka opokowego charakteru, nieskazitelnie i z pożytkiem służącego społeczeństwu przez całe swoje tak długie życie, które bez przerwy wypełnione było poważną i usilną, jednostajną pracą naukową. *)

Marjan A. Baraniecki.

MOJE NIEBO.

Niech tam nieba ideały]
Tworzą, jakie chcą poeci:
Mojem niebem—światek mały,
A w tem niebie—małe dzieci.

Z po za chmurek, jak z okienka,
Na świat patrzą co się dzieje,
A dziecina się maleńka,
Mały Jezus do nich śmieje.

I jak niegdyś w Betleemie,
Do rozkosznej ich gromadki,
Jakby schodził znów na ziemię,
Rwie się Jezus z ramion Matki.

A najświętsza Matka Boża,
Jezusika z kolan zsuwa;
Uśmiechnięta niby zorza,
Nad wszystkiemi dziećmi czuwa.

I niewinne ich igraszki,
Dzieli wspólnie z swą dzieciną;
Patrzy... patrzy... gdy jak ptaszki,
Na skrzydełkach w górę płyną.

Lub, gdy małe te dzieciątka,
Całem szczęściem niebios tchnące:
Białe owce i jagniątka,
Na niebieskiej pasą łące.

A Jezusik na ich czele,
Pasterz dobry i kochany:
Z małych dzieci ma kapelę,
Z małych dzieci dwór dobrany.

One Jemu tylko służą;
Z nimi On się tylko bawi,
A gdy im się oczki zmrużą,
On im do snu błogosławi.

Już zasnęły!.. I wam dziatki
Do snu główa się zesuwa;
Po nad wami, Bożej Matki,
Opiekuńcza ręka czuwa...

A Jezusik, dłoń malutką
Łączy z dłońmi matczynemi;
Błogosławiąc nią cichutko,
Wszystkie dzieci na tej ziemi.

O! niech jakie chcą poeci,
Marzą nieba ideały:
W mojem niebie—małe dzieci,
Mojem niebem—świat ich mały.

Wł. Belza.

SZCZĘŚCIE.

— Jeszcze godzina do północy! — ozwał się w pokoju głos młodego dziewczęcia, dźwięczny, ciepły, choć niecierpliwy. — Co przez ten czas robić?

— Najlepiej iść do domu — była odpowiedź starszej osoby wtulonej w kąt kanapy i wyrzucającej z trudnością wyrazy wśród kurczowego wysiłku ust charakteryzującego przytłumione ziewnięcie.

— Nie, nie! — zaprotestowano razem z kilku punktów salonu — doczekamy nowego roku.

— Na co, po co? — zagadnął jakby z pewnem smutnem znużeniem niemłody już mężczyzna, przyglądający się illustracjom jakiegoś ozdobnego wydania — przyjdzie nieczekany i nieproszony, da nam się jeszcze we znaki.

— O! o! dałby pan dziś przynajmniej pokój ze swoim brzydkim pesymizmem — odparła młoda śliczna osóbka, której czarne oczy sypiące iskry, uśmiech przebiegający ustawicznie po wilgotnych ustach od jednego do drugiego dołeczka, miękkie i faliste ruchy utoczonej kibici, istotnie nic wspólnego z pesymizmem nie miały.

— Już przeszłego roku byłeś pan złowrogim wróżbitą...

*) Tu winniśmy dodać, iż akademja umiejętności w Krakowie, zaraz po ukonstytuowaniu się w r. 1873-im wybrała Frączkiewicza na członka zwyczajnego wydziału matematyczno-przyrodniczego, a Towarzystwo przyrodnicze imienia Kopernika we Lwowie, na uroczystem posiedzeniu publicznem w roku 1883-im, mianowało Frączkiewicza członkiem honorowym.

— Czyż nie miałem słuszności? Ten się w życiu najrzadziej myli, kto najwięcej złego w rachubę bierze.

— Ale ten najciężej grzeszy — zakonkludował drugi gość w średnich latach, o wysokiem rozumnem czole, jasnem i pogodnem spojrzeniu, w którem skupiona była moc wyrobionego dojrzałego charakteru — bo sam wplata w życie złe największe — niewiarę.

— Otóż na złość pesymizmowi — zawołała wesoło pierwsza interlokutorka — bawmy się w szczęście...

— Tak, bawmy się w szczęście — powtórzyła wyzywająco żywa brunetka — niech nas tak nowy rok zastanie.

— Co to znaczy, bawić się w szczęście? — zapytał ktoś z towarzystwa.

— To gra towarzyska, bardzo niewinna — odparł pesymista — i w tem do życia podobna, że każdy udział w niej brać może, dopóki los nie ostrzeże „przestańcie dzieci bo się źle bawicie".

— Nieznośny puszczyk — ozwał się szept gdzieś z pod okna.

— Ja państwu powiem — zabrała głos panna bardzo nieładna, bardzo rozumna i bardzo nieszczęśliwa — ja która przecie najlepiej wiem, że to tylko zabawka. Ktoś z nas schowa dobrze jakiś przedmiot, byle co — bo przecież wiadomo, że szczęściem może być byle co — to zależy od tego, jak je kto zrozumie. Potem każdy z kolei będzie szukać ukrytego skarbu, żeby zaś ułatwione miał zadanie, towarzyszyć mu będzie... muzyka, wyobrażającą niby te poetyczne ułudy, które każdemu gdzieindziej i inaczej szukać każą. *Crescendo* oznacza że jest blisko celu, *diminuendo* że się od niego oddalił... Jeżeli nie znajdzie, daje fant... tak jak w życiu, które każe co chwila czemś te zabiegi okupywać.

— Jeżeli znajdzie? — zagadnął optymista.

— Powie zapewne — wtrącił jego przeciwnik — jak się zwykle mówi w takich razach: więc to tylko to?

— Tylko niechże ten co będzie grał—zastrzegła brunetka — nie oszukuje... bo nic łatwiejszego jak głośniejszą melodją albo przyciszonym motywem zmylić drogę. Można przejść koło szczęścia i nie wiedzieć o tem.

— Zupełnie tak jak w życiu—zauważyła z goryczą nieładna panna.

— No, więc kto ukryje szczęście i kto strzedz go będzie?—spytała brunetka.

— Ten albo ta, kto sam będą bliskim mety, nikomu nic zazdrościć nie potrzebuję.

— Helcia, Helcia — wołała większość towarzystwa.

— Dlaczego ja?—spytała z pewnem zdziwieniem osoba, której tak zgodnie straż nad ogólnem dobrem powierzano.

Była to piękność tak skończona jak marzenie o szczęściu i tak jak ono trudna do odmalowania. Mimo cudowną prawidłowość rysów twarzy, nie one przykuwały do siebie uwagę patrzącego, ale niezrównana harmonja i rozlany w całej fizjognomji spokój, który łączył w sobie nieokreślone zamyślenie dziecka i powagę kobiety. Pod wrażeniem tego wyrazu można było długo nie wiedzieć jakiego koloru oczy i włosy miała panna Helena, czy nosek jej był grecki, czy rzymski, czy usta jej uśmiechają się, czy w smutku tulą się do siebie.

— Już tylko się nie sprzeczaj Helo — zadecydowała despotycznie brunetka. — Tak ma być i skończyło się... Zresztą—dodała z uśmiechem—znajdziesz może kogo w towarzystwie, nad czyjem szczęściem czuwać ci będzie przyjemnie.

Na te słowa oczy obecnych zwróciły się jakby mimowoli w kąt sali, w którym stał samotnie młody człowiek, uosabiający obliczem energicznem, postawą śmiałą, ruchami żywemi niecierpliwość czynu, pragnienie walki, postanowienie zwycięztwa przebojem.

Po twarzy panny Heleny przemknął cień pomięszania, zakłopotania, czy niezadowolenia, ale uwagę towarzystwa zajęło nowe pytanie i dana na nie odpowiedź.

— A któż nam zagra?

— Naturalnie, pan Juljan.

To „naturalnie" nie wydawało sią snać tak naturalnem mężczyźnie, siedzącemu koło pieca, bo kiedy się do niego udano z propozycją, bronił się długo. Już tak dawno nie grał, tak mu ciężko było usiąść do fortepianu, palce nie chodzą, pamięć odmawia posłuszeństwa... W każdym innym wypadku nie nalegano by; fizjognomja pana Juljana tak była napiętnowana cierpieniem, które przedwcześnie posrebrzyło mu głowę, pogłębiło oczy, usta bólem skrzywiło... Ale dziś... kiedy szło o zabawę w szczęście!...

— Nie bądź pan egoistą...— mówili do niego ci nieubłagani, którzy z nieświadomym egoizmem młodości negowali cierpienie.

Pan Juljan przystał. Całe młode towarzystw wyszło na chwilę do drugiego pokoju—panna Hele na rozmówiła się zcicha z fortepianistą. Czy i gdzie co schowano, trudno było odgadnąć, bo wkrótce pię kna strażniczka szczęścia usiadła na swojem miej scu i pierwsze akordy fortepianowe ozwały się hasłem, na które rozbawione grono wróciło do salonu.

Niezwyczajnie, oryginalnie wyglądała ta zabawa.

Towarzystwo było liczne... Goście jeden po drugim probowali gonitwy za szczęściem.

Ktoś wstawał i usiłował orjentować się według dźwięków muzyki. A muzyk zdawał się znać dokładnie indywidualność szukającego — bo każdej osobie towarzyszyły innego charakteru motywa. Złożyła się z tego improwizacja dziwna, powikłana jak życie z najróżniejszych melodji. Ten szukał szczęścia przy spokojnym śpiewie, tamtę prowadziła tkliwa kantylena, owego znów podniecały namiętne frazesy, kto inny usiłował pod takt wojowniczego mar sza szturmem zdobyć to, co przed nim się kryło.

A wszyscy łowili uchem odcienia *forte* i *piano*.

Wzmocniony akord, to znów stłumione echo, ostrzegały czy też łudziły... kto to mógł wiedzieć? dźwięk odgrywał rolę błędnego ognika.

Już, już na kilka donośniejszych taktów, na rytm przyspieszony, pałało oko, wyciągała się ręka... już, już miało się zobaczyć, pochwycić skarb upragniony, kiedy zwolnione tempo i stłumione jakieś odgłosy poprzedniej melodji—odbierały wszelką nadzieję.

Było blisko—ale minęło.

I w miarę, jak przedłużała się gra, jakaś namiętność opanowała wszystkich. Muzyk zdawał się na serjo brać swoją rolę przewodnika — solidaryzować się z pragnieniami szukającego, prowadził go, kierował, poddawał myśli, natchnienia, a ten kto za szczęściem gonił, wierzył w *crescenda* i *diminuenda* i ze spojrzeniem roziskrzonem, z piersią falującą, szedł, przystawał, rozglądał się i z oczów panny Heleny, z jej uśmiechów, pragnął odgadnąć gdzie szczęście ukryte.

Ale jakoś nikomu się nie udawało.

Śliczna blondyneczka która dała inicjatywę do zabawy, rozpoczęła poszukiwania na tempo walca— w połowie, zamiast szukać puściła się sama w wir Straussowskiego poematu i zmęczona usiadła, mówiąc wesoło:

— Nic nie znalazłam, alem się przynajmniej wytańczyła.

— A fant?—spytał ktoś.

— Daję serce—rzekła z komiczną powagą, zdejmując z szyi medaljon w kształcie serduszka i rzucając go do urny z taką swobodą, z jaką niezawodnie odda prawdziwe serce.

Pochód pesymisty rozpoczął tragiczny polonez *fis minor* Szopena. Z nachmurzoną twarzą szedł wolnym krokiem, nie patrząc nigdzie i jakby niedbając o to czego miał szukać. Przy cudownem przejściu do mazurka, które działa jak echo rodzinnego kraju dolatujące do ucha wygnańca, stanął, wsłuchał się w tę kojącą melodję i rzekł:

— Więcej nie szukam—to mi wystarcza. A na fant oddaję... mój pesymizm.

Młodą milczącą mężateczkę, przywitał p. Juljan kołysanką Schumana, co tak wszystkich zabawiło, a biedną zawstydziło, że zrzekła się pretensji do szczęścia.

Panna niełądna miała za towarzysza zgrzytliwe Scherzo Szopena—szukała gorączkowo, namiętnie— napróżno.

Optymiście towarzyszył śpiew spokojnej Barkarolli Rubinsteina: długo nie chciał szukać, twierdząc że dawno znalazł, bo ma w sobie wiarę w szczęście.

Żywa brunetka uraziła się trochę usłyszawszy kuplet: „jedź do Krety", Offenbacha — i oświadczyła, że nie potrzebuje szczęścia szukać, bo szczęście samo do niej przyjdzie.

— Tylko niemam co dać na fant — dodała.

— Złóż pani swoje wdowieństwo — wtrącił pesymista — wszakże na fant daje się zwykle to co się ma najgorszego.

Przyszła kolej na energicznego młodzieńca.

Stanął na środku pokoju i usłyszał pierwsze takty preludjum Szopena *Des dur*.

Łagodność śpiewu ośmieliła go i jakby natchnęła nadzieją.

Rozpoczął poszukiwania... ale na niewielkiej przestrzeni. Coś go uparcie ciągnęło w stronę gdzie siedziała panna Helena — a i muzyka mówiła mu że go instynkt nie myli... Ilekroć oddalił się choćby tylko o parę kroków, ostrzegał o tem posępny minorowy motyw.

Im bliżej znajdował się fotelu panny Heleny, tem ponure oktawy potężniej się odzywały, jak gdyby upominając go żeby nie odchodził, bo może na zawsze pogrzebać swoje szczęście.

Więc założył ręce przed sobą i zatopił ogniste spojrzenie w oczach panny Heleny.

On potnił, ona się mieniła, a oktawy huczały,

Aż dostrzegł w jej oku coś błyszczącego, nakształt zy.

Wyciągnął rękę... w tej chwili odezwał się ostani grom zwiastujący powrót, pierwszego cudnego ematu preludjum. Mimowolnym ruchem, i jakby apominając co się koło niego dzieje, młodzieniec ołożył dłoń na maleńkiej rączce panny Heleny.

Zerwała się z krzesła zapłoniona i wylękniona, a u nóg jej upadł, upuszczony z otwartej dłoni maleńki kalendarzyk, na którym wielkiemi cyframi wypisany był rok 1884-ty.

— Znalazł, znalazł! — zawołały wszystkie razem głosy w salonie.

Fortepian umilkł... nastała chwila ciszy, w której tylko w dwóch sercach cudowna grała muzyka, chwila tak kłopotliwa, że panna Helena niewiedząc prawie co czyni, uciekła z salonu.

— Taka drobna rączka, a tyle zmieściła — zauważył pesymista. — A on jak odrazu wiedział dzie szukać!

— Bo szukał sercem — odparł optymista.

Tymczasem około fortepianu stał młodzieniec z anną Heleną, którą towarzyszki wciągnęły napowrót do salonu.

— Pani — rzekł do niej — jest jeszcze jeden w tej grze warunek, o którym nie wspominano.

— Jakiż to?

— Kto nie znajduje ten daje fant, ale kto znalazł, ten ma prawo żądać fantu.

— Czyż nie zabrałeś pan tego co w ręku trzymałam?

— To tylko jeden rok... a ja pragnę więcej... ja pragnę wszystkich lat pani za życie, które ci z rozkoszą ofiaruję.

— Życie... wie pan, że ja boję się tej zamiany. Patrz pan jak to się dziwnie dzieje. Preludjum Szopena dopomogło panu znaleźć szczęście — to samo Preludjum było najboleśniejszem wspomnieniem pana Juljana, który uprzytomniał sobie, grając, utraconą narzeczoną artystkę, i jeszcze to samo Preludjum, znane jest jako jęk strasznej boleści Szopena. Widocznie życie pod jeden temat różną treść podkłada. Kto wie jaka każdemu z nas muzyka potrzebna?

— Więc pani śpiewaj, ja ci tylko towarzyszyć będę.

— Ale pan może należy do wagnerzystów, a u nich przecież śpiew na drugi plan schodzi, i cała waga w akompanjamencie.

— Choćby i tak było, wszakże to muzyka przyszłości, a my młodzi do przyszłości należymy. W każdym razie jest w tej muzyce jedna wyższość... najpiękniejsza harmonja.

Panna Helena nic na to nie odpowiedziała.

Oboje spojrzeli na siebie, a z tego spojrzenia widać było, że dusze ich śpiewały *unisono* pieśń szczęścia.

Władysław Bogusławski.

TRZY PAMIĄTKI.

Zamku mosty pospuszczano,
Rżą rumaki, chrzęszczą miecze—
Rycerz żegna ukochaną
I te słowa do niej rzecze:

„Rok zabawię—może dłużej,
Na bój krwawy się sposobię,
Luba, daj mi ten kwiat róży,
Bym pamiętał wciąż o tobie!“

Na zatargi chwili niema,
Rycerz różę na pierś chowa;
Rączkę lubej w dłoni trzyma,
Te do uszka szepcze słowa:

„Niech najcięższa przyjdzie próba,
Mam już to, co mię pokrzepi —
Lecz twych włosów daj mi, luba,
Bym pamiętał jeszcze lepiej!“

Serce niewiast jak wosk mięknie,
Więc przystała choć się płoni;
Podziękował rycerz pięknie
I te słowa rzecze do niej:

„O czem się nie zapomina
To rozdzielmy na nas dwoje:
Teraz pozwól mi, jedyna,
Ucałować usta twoje!...“

• • • • • •

Poszedł rycerz na kraj świata,
Trzy pamiątki zabrał z sobą...
Płyną dni, miesiące, lata,
Zamek okrył się żałobą.

Jak podcięty kwiat usycha
Czarnobrewa opuszczona,
W noc i we dnie płacze, wzdycha,
Wciąż rycerza czeka ona...

Że nie wróci, ręczyć można.
Oburzenia ja nie dzielę!
Dać pamiątkę rzecz nie zdrożna,
Lecz źle dawać ich... zawiele.

Czesław.

INCITATUS.

Za konsulatu Incitata w Rzymie,
Wcale niezgorzej się działo.
Konsul. bywało, jeśli nie je—drzymie,
Jeśli nie drzymie—je z chwałą.

W mocarstwie całem wszyscy w stajni stoją,
Z najszlachetniejszej pobudki,
I nic nie robią, a za pracę swoją
Jadają owies czyściutki.

Lub koniczynę, a w ostatku siano,
Lecz nigdy słomę obrzydłą —
I ani kiedy na grzbiet ci wsiadano,
Ni w pysk kładziono wędzidło;

Ni w zaprząg szedleś—ni też u kowala
Śmiano ci podkuć kopyta —
I choć kto sobie na kieł wziąść pozwala,
Nikt go przyczyny nie pyta.

Chciej się rozbiegać—nikt cię ani zgani.
Kop, wierzgaj choćby najgorzej —
A nikt ci ani nawymyśla, ani
Naklnie, ni biczem zbatoży.

W końcu, gdy wpośród tylu dzielnych osób
Drażliwsze znaleść się mogą,
Niewolno było bąkom w żaden sposób
Nigdy ukąsić nikogo.

Tak, jednem słowem, w owem państwie, które
Tłuściejsze było co rano,
Nigdzieś nie liczył żeber poprzez skórę,
Ni tam ochwatu nie znano.

Był Incitatus koniem — powiadacie?
Zgoda. Lecz biorąc rzecz ściślej,
Czyż zawsze bywa: że kto o swym bracie
Tak jak o sobie pomyśli?

Bo zważcie: — podczas gdy ród koński hula,
Z góry swej pewien obrony,
Ludźmi tymczasem rządził Kaligula,
Sam przez Mnestera rządzony.

Ci wyrzekali. Ale rzecz to znana,
Która nikogo nie dziwi...
Czemuż nie jedli owsa albo siana —
Mogli być całkiem szczęśliwi!

Felicjan.

DUBROWNIK,

(Z podróżnej teki).

— Gravosa! — zawołali podróżni na statku, niemcy i żydzi.

— Gruż! — ozwali się tuziemcy — port Dubrownika.

Maleńki statek przewozowy, parskając dymem i pianą, żwawo zawija do przystani w samym środku wyciętej w półkole zatoki. Ogarniamy okiem amfiteatralnie piętrzące się wzgórza i szereg pooddzielanych domów w stylu włoskim z ogrodami — są to wille magnatów dubrownickich. Niezadługo stajemy u przystani, na statek pędzi gromada *fakinów*, pachołąt i starszych wiekiem, i nim się opatrzyć zdołasz, już bosonogi chłopak niesie walizkę do oczekującej na przyjezdnych dorożki.

Około dwudziestu minut jedziemy szosą, którą zbudował jenerał Marmier w czasie efemerycznej okupacji francuskiej. Droga idzie niemal na brzegu skały; o stopy jej rozbijają się spienione fale morskie, z rozpadlin wyrastają kaktusy, szare od kurzu, który rzucają na nie wiatr i koła szybko przelatujących wozów i dorożek. Droga wyborna. Już-to francuzi napoleońscy, zwycięzki pochód swój znaczyli jak rzymianie budowami i drogami bitemi—no, czasami...

Wkrótce znajdujemy się na przedmieściu dubrownickiem „Pite". — Po obu stronach wille, tonące w zieleni — w ogrodach rosną drzewa oliwne z srebrzystemi liśćmi, pomarańczowe, kaktusy i agawy. Pomiędzy drzewami migają tu i owdzie wytwornie ubrane kobiety z urodziwemi, arystokratycznemi fizjognomjami, na których wyraźnie czytasz wypiętnowaną dumę i nudę. Patrzą one apatycznie na cudzoziemca, jakby pytały w duchu, po co on tu przyjeżdża?

W hotelu dają mi pokoik, zwrócony ku górze nagiej, żółtawej, z półkólistym grzbietem. Pod samym jej szczytem stoi fort, niegdyś noszący nazwę św. Sergjusza, a od napoleońskich czasów fortu cesarskiego. Mimowoli myślisz sobie, jak się tam ludzie piec na słońcu muszą... Przebrawszy się, chcę wychodzić i zamknąć pokój, ale o dziwy! zamku przy drzwiach nie ma... A prawda, jesteśmy w jedynem snadź mieście na świecie „gdzie nikt nie kradnie i nie rabuje!"

Przed hotelem gra muzyka wojskowa. Tłumy ludu przechadzają się po małym placyku, z którego widzisz morze sine, ciemne, pokarbowane w pasy fal z rąbkami białej piany. Bije ono o brzeg kamienisty, a szumu nie zdołają zgłuszyć nawet trąby i flety, wygrywające jakiegoś wiedeńskiego walca.

Zanim zdążyliśmy skończyć wieczerzę, zapadł mrok wieczora, nad ziemią rozpostarła się ciemnobłękitna opona z miljonem gwiazd migocących. Pomimo cieniów nocnych ciekawość ciągnie do samego grodu, który schował się po za mur tak wysoki, iż kryje po za sobą wnętrze miasta, niby łupina jądro orzecha. Przez bramę, nad którą stoi św. Błażej, patron miasta, wchodzę na dość szeroką, a prostą ulicę. Stare domy z ciosowego kamienia w stylu włoskim na dwa piętra poglądają ponuro. Na ulicy niemal pusto, tylko przed apteką na krzesełkach siedzi kilku starych gadułów; przychodzą oni tu co wieczór ot, z nałogu, tak jak u niemców idzie się co wieczór do knajpy na piwo, a u nas do resursy na prefka z kurkiem... Ulicę przecina cały szereg uliczek wąskich, ale wyciągniętych równiuteńko, pod cyrkiel. Z ulicy wchodzę na placyk z kilkoma pałacykami z kolumnadą z dwoma kościołami. Nie mam odwagi zapuszczać się dalej — pustka ma coś odstraszającego w sobie, a włoska architektura domów i kościołów przenosi ducha w dziedzinę klasycznej Italji z jej operowemi *bravami* i zbirami. Fantazja zmusza pamięć do zapomnienia, iż jesteśmy w starym słowiańskim Dubrowniku, w którym ani kradną, ani rozbijają"...

Wracam żwawo do hotelu. Przed apteką siedzi dotąd kółko gadułów, ale snadź powiedzieli sobie już wszystko, co mieli do powiedzenia, gdyż siedzą w milczeniu, kiwając się wpółsennie na krzesełkach. Zagabuję jednego siwowłosego z miną najpospolitszego filistra, pytam go o profesora Łukasza Zore, któremu przyjaciel zagrzebski polecił obcego gościa, aby mu pokazał starodawne pamiątki.

— Nie znajdziesz pan tutaj wiele rzeczy godnych uwagi—odparł filister.

— A jednak, jeśli Dubrownik tak uroczo wygląda za dnia jak po nocy, to jest wam czego powinszować.

— Tak, trochę kamieni jeszcze nam pozostało...

Zanim sen począł kleić powieki, rozczytuję się w opisie Dalmacji Klaicza, przebiegam krótki rys dziejów miasta. Cóż to za przeszłość oryginalna i bogata! Pod wyniosłą górą na małym półwyspie urodziło się miasteczko Raguza, dokąd uciekali przed barbarzyńcami dzieci klasycznej Dalmacji, ojczyzny cesarza Dyoklecjana. Do Raguzy poczęli cisnąć się słowianie z sąsiedniej Hercogowiny, aż wreszcie Raguza łacińska przerodziła się w słowiański Dubrownik... Na świeżym pniu przyjął się szczep form klasycznych i powstała rzeczpospolita, nie imponująca potęgą wojenną, ani znaczeniem politycznem, ale zręcznie manewrująca pośród wrogich sobie potencyj, imperjum bizantyjskiem, dumną i chciwą Wenecją i koroną św. Stefana. Nie wyczerpując sił swoich w zapasach z przemożnymi wrogami, przyjmując nawet kolejno ich protektorat polityczny, Dubrownik rozwijał siłę wewnętrzną, bogacił się rozległym handlem na półwyspie bałkańskim i uprawiał u siebie literaturę i nauki. Dubrowiczanie dobili się niezwykłego dobrobytu, mieli za co żyć i umieli żyć! W grodzie, ujętym w karby silnych i wysokich murów, powstawały pałace publiczne i prywatne, w wieku XV-ym było tam coś około 40,000 mieszkańców, cieszących się dostatkiem, rozsądną wolnością i przyjemnościami estetycznemi żywota, które mogły nie wystarczać jedynie zepsutym młodzikom, uciekającym po rozpustę i zbytki na drugą stronę Adrjatyku, do ułudnej jawnogrzesznicy Italji. Italjanizmu w Dubrowniku było dosyć jak na domową potrzebę, klasy wykształcone karmiły się ambrozją i nektarem literatury Dantego, Ariosta i Tassa, a pod wpływem nieśmiertelnych tych wzorów kwitła literatura bogata, świetna, zdumiewająca dziś jeszcze wytwornością formy, która łączy w sobie słowiańską prostotę i uczuciowość z wykwintnością włoską. W wiekach XVI-ym i XVII-ym sam jeden Dubrownik więcej zdziałał dla cywilizacji, aniżeli reszta półwyspu bałkańskiego!

A jednak... rzeczpospolita dubrownicka zaczęła z czasem słabnąć, zamierać, aż wreszcie padła od pierwszego ciosu. Wprawdzie dla jej honoru losy dopuściły, iż cios ten wymierzył potężny światoburca, nowożytny Cezar, „wielki mały kapral". Zabiwszy skrzydlatego lwa na Lagunach, Napoleon sięgnął ręką po minjaturową współzawodniczkę Wenecji. Skoro rozszarpywano spuściznę po wielkim krajów grabicielu, Austrja bez ceremonji zabrała sobie Dalmację, a wraz z nią i Dubrownik. Dziś sławna rzeczpospolita jest stolicą, ale tylko *kotaru* czyli powiatu, mówiąc po naszemu...

Byłem bardzo ciekawy, jak mi się przedstawi stary gród nazajutrz przy świetle słonecznem, czy też uderzy mnie pełnią dziejowych pamiątek. Niestety, nie dla każdej fizjognomji korzystnem jest dzienne oświetlenie. Dubrownik nazajutrz zawiódł moje oczekiwania. Wprawdzie fizjognomja jego, zachowana od ostatniego trzęsienia ziemi w wieku XVII-ym, zaciekawiała charakterem swoim, tyle różnym od dzisiejszych budowli miejskich, zawsze jeszcze został pozór staroświeczczyzny, ale właściwie Dubrownik przedstawił mi się jako rozbita skorupa, z której duch uleciał...

W pałacu *knezów* uderzają jeszcze piękne arkady z zewnątrz i śliczny podwórzec z chodnikiem do koła pod misternie rzeźbionemi arkadami, ale nie masz tam już komnat wybitych aksamitem, wyłożonych bogatemi kobiercami, obwieszonych znakomitemi obrazami. Nawet drugie piętro po trzęsieniu ziemi w r. 1667-ym zwalić musiano. Dziś dawną władców Dubrownika siedzibę oddano na archiwum starych, a ciekawych akt rzeczypospolitej.

W innym gmachu, zwanym *Doganą* (komorą celną) oko rozkoszuje się arkadami i ozdobami w stylu weneckim, ale nie ma tam już tego ruchu kupców, co niegdyś, nie biją się złote i srebrne monety. W pięknej sali grywano ongi sztuki teatralne wobec wykwintnej publiczności, schodzili się członkowie akademji i odczytywali sobie poemata i rozprawy. Dziś pustka, po podwórcu kręcą się tylko *finansjerowie* austrjaccy w kusych mundurkach i charakterystycznych czapeczkach.

Więcej starych pamiątek zachowało się po kościołach: św. Błażeja, patrona miasta, Matki Boskiej i w klasztorach OO. dominikanów i franciszkanów. Chodniki w tych ostatnich budzą istotnie podziw fantastycznością i misternością swoich arkad. Za to nic ciekawego nie znajdujemy u jezuitów, a w słynnem *Colegium Rhagusinum* dziś zaloguje wojsko...

Zamiera Dubrownik, zamiera z każdym rokiem, z każdym dniem oniemal. W murach tych nie pozostało nawet siódmej części dawnej ludności, gdyż wynosi ona *summa summarum* z przedmieściami mało co więcej nad 5,000. W ojczyźnie Gundulicza, Palmoticza i Deržicza wychodzi tylko jedno czasopismo *Slovinac*, trzy razy zaledwie na miesiąc. Ze śmiercią księcia Medo-Puczicza zagasł ostatni poeta dubrownicki! Jeszcze honor beletrystyki podtrzymuje biskup miejscowy ks. Wodopicz, autor kilku dobrych powieści, prof. Łukasz Zore reprezentuje prawie sam jeden uczoność dubrownicką, odkąd słynny lingwista Budmani wyniósł się do Zagrzebia, ażeby objąć redakcję słownika akademji. Handel obrał sobie inne drogi, które mijają Dubrownik. Arystokracja żyje z kapitałów, nagromadzonych przez ojców, posiada domy w mieście i wille w Gružu, ale żywot jej jest wegetacją usychającej rośliny.

Słowem, perła Adrjatyku dziś wygląda jako owe perły, któremi pobożna królowa Jadwiga wyszywała ornaty, dary dla świątyń pańskich.

Czy się odrodzi jeszcze Dubrownik, czy też pozostanie grobem... wielkich popiołów—*that is the question.*

Bronisław Grabowski.

MILUSIŃSCY.

(Z żywego poematu).

Milusińscy?!... stara szlachta,
Od aniołów gdzieś pochodzi.
W herbie zwykle ma... bociana,
Ani poznasz kto ich rodzi.

Główki płowe, oczki duże,
Pulchne nóżki i rączęta,
Rozkosz matek, duma ojców,
Milusińscy—niebożęta.

Jakie to tam skapryszone,
Jakie bywa dumne, harde!...
Z nieba idzie prostą drogą,
Więc dla ziemi ma—pogardę.

Z świata sobie nic nie robi,
Często palce w buzi trzyma,
Kpiąc ze wszystkich konwenansów—
Na to nawet rady niéma.

Jakie to tam bywa śmiałe
Jakie umie stroić dąsy!
Król nie król—niechby się schylił,
To go zaraz łap za wąsy.

Król nie król—o wielkie dziwa!
Któż-bo o tem nie pamięta,
Że od wieków Milusińscy,
Co do nogi—królewięta.

Kiedy taki bobuś mały
Z swej poduszki się wychyla,
To przysięgniesz, żeś go widział—
Przy Madonnie gdzieś Murilla.

I spoglądasz trwożnie w niebo,
Jedną prośbą wzbiera łono—
By mu ztamtąd zapomnianych
Skrzydeł tylko nie zrzucono...

Gdy to zacznie gwarzyć z tobą:
„Bla-blu, bla-blu"... to rozkosze!
Kiedy wdzięcznie złoży dzióbek,
„Plosę"—mówiąc, zamiast: proszę,

Gdy rączkami cię obejmie
I do ucha bez wytchnienia,
W sprawie „lali i pielnika"
Daje już swe polecenia,

Tobyś duszę wyjął z siebie,
Każdej prośbie czyniąc zadość,
Aby tylko Milusińskim,
Na chwileczkę sprawić radość.

Gdyby nie ci Milusińscy—
Człekby nieraz skoczył w wodę,
Lub rozdeptał gorzkie życie,
Jak grzyb, albo złą jagodę.

Gdyby nie ci Milusińscy,
Co nam ciernie życia złocą—
Boże, iJuż sercom biednym
Pustką byłby świat sierocą!..

Marjan Gawalewicz.

Z ŻYCIA WIEJSKIEGO.

Dostatek mieszkał niegdyś pod ich dachem, a serce i gościnność przyciągały wszystkich do ich ogniska.

Dwór był drewniany, nie bielony, z gankiem na słupach, dużemi okny, wielkim dziedzińcem i sadem, w którym rosły kwaterami jabłonie i liczne grzędy róż.

Gospodarzem domu był wysoki, chudy, stary mężczyzna, a gospodynią znacznie młodsza, drobnej postaci niewiasta. Pociechą rodziców była dzieweczka, którą kochali namiętnie i śnili o jej szczęściu.

Ale fortuna kołem się toczy i po jasnych dniach jesieni nadchodzi śnieżna zamieć. Nad cichą wioską i krainą przeszła potężna burza... Gromy rozwaliły wiele zamków i dworów, a huragan wyrwał z korzeniem wiele starych dębów.

Dwór w gaju róż i jabłoni stał pustką. Było w nim głucho i zimno. Pod progiem drżał z chłodu i głodu ostatni stary kundel, pilnując śmieci po swoich dawnych panach, którzy już tu powrócić nie mieli nigdy.

Matka nie żyła już... Skonała tuląc do zimnej piersi dziewczynę i gasnącym wzrokiem widząc widmo niedoli, które miało jej dziecię poprowadzić ponad przepaście między cudzych ludzi. Dwie stare sługi w śnieżną zamieć odprowadziły dawną panią do mogiły.

Ojciec znalazł chwilowe schronienie u dalekich krewnych, ale dorastającą dziewczynę bolało, że był na łasce, więc posiadając dobrze początki nauk, podążyła nauczać dziatwę. I pracowała usilnie i wytrwale, aby zarobek swój oddać ojcu i mieć tę rozkosz najwyższą, że starzec za jej pracę ma kęs chleba, białą izdebkę i jasny ogień na kominku.

Tak przemijał dzień za dniem, rok za rokiem. Sierota pracowała jak zawsze, a starzec pędził dni na cichej modlitwie i czytaniu. Modlił się za tych, których pochował i za swego anioła opiekuna—czytał gazetę, do której przywykł od pół wieku, a którą teraz miał od Marji.

Pewnego dnia, gdy włożywszy wielkie okulary na kościsty nos, czytać począł „ostatnie wiadomości", ściemniło mu się w oczach, pochylił się na poręcz krzesła, wykonał ręką jakby niewyraźny krzyż nad czyjąś głową i usnął—usnął na wieki. Jedyne dziecię nie uścisnęło mu raz ostatni rąk i nóg, nie słyszało ostatniego oddechu, nie zamknęło mu powiek, bo o mil kilkanaście oddane było pracy i tylko tęskną myśl wysyłało do białej izdebki.

Obok mogiły, wzniesionej przed laty dla matki, usypało dwóch dziadów kościelnych drugą. Na tamtej niegdyś zanosiło się głośnym płaczem młode dziewczę—na świeżej, klęczała w żałobie nieruchoma półmartwa niewiasta. Żal tamował jej łzy i oddech. Jej wzrok znużony i lekkie zmarszczki na twarzy mówiły o przebytych kilkunastu latach trosk i pracy. Na czole malowało się wielkie cierpienie duszy i ciała...

Szlachetna Marja była już zupełną sierotą, bez matki i ojca, bez krewnych i rodzinnego dachu. Został jej tylko po rodzicach jeden wielki skarb—została wiara w Boga, która koi najsroższe rany i chroni od upadku i rozpaczy! Marja wierzyła, że poczciwa sierota nie ginie.

Chorą leczył doktor, zacny człowiek i doznający świetnego powodzenia w okolicy. Badał on jej cierpienie, którego powodem była nadmierna praca z poświęcenia się dobrej córki, wniknął w jej czystą duszę i serce anioła, ocenił charakter i pokochał biedną dziewczynę...

Ona nie miała nadziei wyjścia zamąż, nie śmiała nawet marzyć o szczęściu rodzinnem—gdy nagle poproszono ją o rękę! Sierota w pierwszej chwili nie chciała temu wierzyć, sądziła, że to żart lub złudzenie. Ale stał przed nią lekarz wzruszony i zapytujący z powagą.

W kilka godzin później Marja cicho płakała. Rodzice nie widzieli jej szczęścia, oboje w grobie nie mogli pobłogosławić dziecku, dać krzyżyk na drogę nowego życia, udzielić rady, do serca swego przytulić, do ołtarza i nowego domu odprowadzić i szczęściem córki się napoić. Gdzież ognisko rodzinne, od którego ona zamąż wyjdzie—sierota nie miała go...

Na szczęście w kraju naszym nie wygasł jeszcze święty znicz starych cnót obywatelskich. Zaledwie wieść o zamiarach lekarza wybiegła w okolicę, gdy uścisnęła dłoń Marji dawna sąsiadka jej rodziców z prośbą, iż pragnie zastąpić jej matkę i domem swoim dom rodzicielski, oraz żąda, aby ona zaprosiła na swój ślub i wesele te wszystkie osoby, od których w swojej doli doznała serca i opieki przyjaznej. Była to druga niespodzianka.

W parę miesięcy później do dworu mazowieckiego przybyli goście nawet nieblizcy, którzy bądź siebie wzajemnie, bądź gospodarzów dworu tego nie znali. Byli tylko przez nich zaproszeni jako szlachetni i życzliwi dla sieroty.

Obchód zaślubin był cichy, dziwnie uroczysty i rozrzewniający. Obcy i nieznajomi sobie ludzie podążyli razem, aby zastąpić rodziców, pobłogosławić poczciwej Marji, ujrzeć jej szczęście. Był to prawdziwie piękny objaw ludzkości, tryumf obyczaju, a nagroda dobrej córki.

Kilka powozów wiejskich wyruszyło w orszaku weselnym do ślubu ubogiej nauczycielki i po weselu odprowadziło państwa młodych do przybytku cichego szczęścia nowej rodziny.

Dawniej, gdy wychowywanie ubogich sierot, wydawanie ich zamąż i wyposażanie było powszechnym zwyczajem u nas i gdy uważali to wszyscy za prosty obowiązek chrześcijański—wypadek powyżej opowiedziany nie zasługiwałby na opis...

Dziś jednak, gdy lecząc się z wielu złych narowów, zaniedbujemy także i niejedną ze starych cnót, opisaliśmy ten fakt przed chwilą wydarzony, jako miły i piękny odbłysk szlachetnego obyczaju.

Zygmunt Gloger.

FRAGMENT.

. . . .
Gdyby tak można serce i głowę,
Jak kram, opatrzeć w nabytki nowe,
Wzamian za dawne, z tą myślą miłą
Że się interes dobry zrobiło;
Gdyby zasady, uczucia, wiarę
Można tak zrzucać, jak suknie stare,
Gdyby to można, jak lalka z drzewa
Albo jak z głazu wykuta postać,
Nie widzieć światła co wzrok olśniewa,
Na grzmiące głosy. głuchym pozostać,
Lub uśpić serce gdy rozum zrywa
Wrosłe w treść życia złudzeń ogniwa,
I w dniu zwątpienia nie cierpieć srodze
I nieczuć żalów na nowej drodze,—
Gdyby to można! . . . .

. . . .
W jaki się obszar skryły daleki
Te bohaterskich wyznawców wieki?
Gdzież ci niezłomnych przekonań ludzie,
Co na śmierć za nie biegli z rozkoszą?
Dzisiaj nam o nich, niby o cudzie,
Podania dawne i księgi głoszą.
Dziś, gdy się w dzieje spółczesnych wpatrzę,
Widzę, jak grono wiernych się zmniejsza,
I bohaterstwo, coraz to rzadsze,—
Ach,—bo ofiara coraz trudniejsza,—
Bo pewność prawdy—wciąż niepewniejsza!..

Inaczej było tam—w Izraelu,
Gdy dlań cierniowe krzaki gorzały,
I jasne słupy wiodły do celu,
I żywe zdroje biły ze skały...

Inaczej było—zanim promykł
Oświecające lochy złowieszcze,
I w katakumbach lud nawpół dziki,
W wielkie ognisko nie wzrosły jeszcze.
Tam chrześciański syn poganina,
Orzeł, co pióra przywdział gołębie,
Śmiały jak jego mężna rodzina,
Ciemny, jak rzymskich podziemi głębie,
Z ufnością dziecka,—gdy mu przyrzeczem
Za posłuszeństwo cacko wyśnione,—
Dziś z krzyżem w dłoni jak wczoraj z mieczem
Szedł obiecaną zdobyć koronę.

Inaczej było, o praojcowie!
Za dni pokornej waszej prostoty,
Wznoszącej zamek nadziei złoty
Na tajemniczych objawień słowie,
Wyście trapiących pytań nie znali,
Które rozstrzygać muszą wnukowie;
Was nie paliła myśl, która pali
Mózgi potomków! W nieświadomości
Byliście śmieli, pewni,—bo prości...
Miecz wam na ziemi usuwał tamy,
Pacierz otwierał do raju bramy,
Na drogach waszych anioł siał blaski,
Wam królowała Niebieska Pani,
A my się rodzim w dniach jej niełaski,
A my widzimy paszcze otchłani,
Szaleją czasów wezbrane rzeki,
Ziębiące wichry doświadczeń pędzą...
I nad niemocą nie ma opieki,
I zmiłowania nie ma nad nędzą...

Minęła młodość duchowa świata,
Przebrzmiała nuta zachwytów boska,
Gorący mistrzów zapał odlata,
Ufnych słuchaczy niknie beztroska.
Smutek owionął wyznawców czoła,
Pierś sodalisów szarpie niepokój,
Cisza... i w ciszy tej, już nie woła
Głos wszechpotężny: „idź i prorokuj!"
. . . .

Dyonizy Henkiel.

Jesienią i wiosną.

Zajęcia moje zmuszały mnie przechodzić codziennie przez ogród Saski koło stawu, w tem miejscu gdzie zagłębienie trawnika tworzy rodzaj kwadratu, zamkniętego z dwóch stron ławkami, a z trzeciej, żelaznem obarjerowaniem cysterny.

Na jednej z tych ławek, tuż nad wodą, siadywał często młody człowiek, należący widocznie do inteligentniejszych warstw społeczeństwa. Przychodził zwykle z książką lub gazetą, czasem czytał listy, a parę razy widziałam jak rzucał bułkę łabędziom, które z wielką powagą przypływały ku niemu na ten poczęstunek.

Ten szczegół jakoś mnie przychylnie dla niego usposobił: miałam zawsze sympatję do ludzi, którzy lubią zwierzęta i ptaki i rzadko się w tej sympatji zawodziłam.

Tym razem była ona nietylko nieodwzajemnioną, ale pozostała zupełną tajemnicą dla tego, który był jej przedmiotem; nigdy bowiem niezamieniliśmy ze sobą dwóch słów i nie jestem pewną, czy ów młodzieniec zauważył kiedy moją osobę.

Co do mnie, gdy nie miałam nic ważniejszego na myśli, a jego jasna, szlachetna twarz, mignęła mi przed oczyma, to, ot tak, machinalnie zastanawiałam się kto on być może, i jakiem jest jego życie?... Ponieważ urządzał sobie te ogrodowe posiedzenia w godzinach przedpołudniowych, a więc w porze kiedy ludzie pracy przykuci są zwykle do swoich zajęć, wywnioskowałam ztąd, że musi mieć niezależne stanowisko i o kawałek powszedniego chleba troszczyć się nie potrzebuje. W tem przypuszczeniu utwierdzała mnie jego wykwintna powierzchowność i ten wyraz twarzy, jakiego niemają ci, którzy muszą sobie codzień powtarzać: co będzie z nami jutro? Nie wyglądał ani na artystę ani na poetę; nic w nim również nie zdradzało ponurego filozofa lub ociężałego kapitalisty. W ogóle robił dziwnie harmonijne wrażenie natury zdrowej i bogatej, rozwiniętej prawidłowo na właściwym dla niej gruncie; człowieka któremu dobrze jest na świecie i który się spodziewa iż mu będzie jeszcze lepiej!

Jeżeli jednak był rzeczywiście majętnym i niezależnym to—dziwnem mi się wydawało dlaczego przez cały czerwiec i lipiec, kiedy każdy kto może ucieka z Warszawy, widywałam go na dawnem miejscu, jak gdyby ta trocha zakurzonych drzew przeglądających się w nieruchomej, także zakurzonej wodzie były jedynem, dostępnem dla niego używaniem letnich rozkoszy. Musiał więc istnieć jakiś powód zatrzymujący go w mieście. Ze zwykłą kobietom skłonnością do upatrywania gdzie się tylko da, sprawek różowego bożka, powiedziałam sobie, że niewątpliwie musi być zakochanym i to w osobie, której okoliczności nie pozwoliły wyjechać w tym roku na willegiaturę...

Wypadek zrządził, że moje domniemania przyoblokły się w nieco pewniejsze kształty.

Jednego dnia, nad wieczorem, znalazłam się koło stawu, już nie w przejściu, ale gwoli użycia świeżego, o ironjo! powietrza—i tym razem w towarzystwie kilku osób.

Zajęliśmy całą ławkę i bylibyśmy chętnie zajęli kawałek drugiej, gdyż było nam nieco przyciasno, ale i na niej brakowało miejsca. Rzuciwszy okiem w tę stronę zobaczyłam mojego nieznajomego, który również sam nie był. W bardzo bliskiem sąsiedztwie jego „panamy” znajdował się krepowy kobiecy kapelusik z olbrzymią herbacianą różą, trzęsącą się ciągle od poruszeń ukrytej pod nią główki. Z po za tego kapelusika wyglądał drugi, taki samiuteńki, tylko znacznie spokojniejszy, jakby przez uszanowanie dla słomianego *par excellence* obywatelskiego kapelusza z olbrzymiem rondem i czarną wstążką, który nad nim górował.

Z mojego miejsca mogłam widzieć tylko dwie trzecie profilu zaciekawiającego mnie młodzieńca, jedną białą szyjkę i maleńką część różowego paluszka, zaciekawiające mnie jeszcze bardziej obie herbaciane róże i oparte na lasce szerokie, opalone ręce właściciela słomkowego kapelusza, które nie zaciekawiały mnie wcale.

Obserwacje te robiłam poza plecami tego członka naszego towarzystwa, który w danej chwili nazywał się moim sąsiadem, a przez całe życie panem Albinem, a który siedząc na samym końcu ławki, łokciem prawie dotykał łokcia mojego nieznajomego i przeszkadzał mi widzieć; czując się zaś w obowiązku bawienia mnie rozmową, przeszkadzał mi także i słyszeć.

— Pani nigdzie w tym roku nie wyjeżdża? — zapytał, nie domyślając się zapewne, że jest setnym z kolei, który mi od początku wiosny stawia to pytanie.

— Nigdzie—odparłam zirytowana nieco koniecznością powtórzenia po raz setny tejże samej odpowiedzi i wychylając się jeszcze bardziej, co pozwoliło mi dojrzeć, że herbaciana róża zatrzęsła się żywo, a na wytłumaczenie tego jej falowania uszu moich doleciał wybuch tłumionego, serdecznego śmiechu.

— I ja także nigdzie nie wyjadę — rzekł pan Albin...

Nie wiem czy to powiedział w celu pocieszenia mnie, gdyż byłam zajęta rozważaniem, o ile ten śmiech mógł być pomyślnym lub niepomyślnym dla mego nieznajomego i doszłam do przekonania, iż był niepomyślnym! Kobiety nigdy nie śmieją się w ten sposób rozmawiając z tym, który opanował ich serce!

— Czy nie zamieniłby się pan ze mną na miejsce? — zapytałam nagle.

Żądaniu mojemu stało się naturalnie zadość, nie bez pewnego zdziwienia ze strony sąsiada, który zapewne pomyślał, iż ci, co mnie ekscentryczną nazywają, nie mylą się w sądzie, ale ja nie zważałam na to. Dopięłam celu: usłyszałam głos nieznajomego młodzieńca, głos bardzo dźwięczny i miły, wymawiający następne słowa, spowodowane zapewne owym źle wróżącym wybuchem śmiechu.

— Czy i siostra pani tak my.l ?

Siostra! Ach! więc to o siostrę chodziło! To poplątało cały porządek moich kombinacyj, które nigdy rozplątane być nie miały, bo w tejże chwili nastąpiło ogólne poruszenie kapeluszy; właściciele ich wstali, moja para poszła przodem, a za niemi w pewnej odległości potoczył się ciężko obywatelski kapelusz, prowadzący pod rękę ową drugą, spokojną herbacianą różę. Cała moja uwaga zwróciła się na nią... Twarzyczka była prześliczna, typ najczystszej albiońskiej piękności: cera liljowa, oczy koloru pierwiosnka i złociste lekkko falujące włosy. Całość robiła wrażenie tego śniegu na najwyższych szczytach gór, nieskazitelnego i nie topniejącego nawet w promieniach słońca. Odwróciłam się i patrząc jak okrążali zwolna staw, myślałam, iż kto wie czy taki lodowaty spokój nie był jeszcze gorszym znakiem niż ów pełen pustoty śmiech.

Wkrótce potem wyjechałam niespodzianie z Warszawy i wróciłam dopiero w końcu października.

Jesień była właśnie na owym przełomie, kiedy lato już jej nic ze swych resztek nie daje, a zima jeszcze nic nie przynosi, a ona stoi w całej bezbarwności i brzydocie ołowianych obłoków, czarnej, rozmiękłej ziemi i nagich drzew. Następują wtedy dnie, które możnaby nazwać raczej długiemi szaremi godzinami roku, i w których najczynniejszego człowieka napada ochota opuścić ręce, zamknąć oczy i zamyśleć się Bóg wie o czem...

Takim właśnie był dzień nazajutrz po moim powrocie. Nie było zimno, a jednak powietrze miało w sobie coś wilgotnego i przenikającego do głębi. Nie było niby ciemno, a jednak to światło, które niewiadomo zkąd płynęło, było takie jakieś ślepe, bezpromienne, mdłe i chorowite, że go o najdalsze pokrewieństwo ze słońcem posądzić było trudno.

Szłam przez ogród, który wydał mi się szpetnym i smutnym jak nigdy. Z ponad zasłanych żółtemi liśćmi trawników unosiły się brudnawe pary, mające swoją właściwą woń: trupi zapach obumierającej natury. Mówiłam sobie, iż jeśliby melancholja mogła być substancją, to chyba tylko taką, jak ta atmosfera ciężka, obezwładniająca, pełna jakichś nieokreślonych pierwiastków nudy, zdenerwowania i tęsknoty. Czułam jak ona oddziaływa na mnie i wlokłam się powoli zniechęcona. Przechodząc koło stawu spojrzałam machinalnie w stronę pustych ławek i ku wielkiemu zdziwieniu zobaczyłam mojego młodzieńca... Stał przy barjerze zwrócony do mnie profilem i patrzył przed siebie — ale jak patrzył! Gdyby to nie trąciło przesadą, powiedziałabym, że był w zachwycie. W ustach lekko rozwartych trzymał zwiędły, czerwonawy liść, w ręku drżał mu cienki arkusik welinu, na czarnej, wilgotnej ziemi leżała świeżo rozerwana koperta.

Dokoła niego wszystko było posępno jak grób... Woda w stawie wyglądała jak roztopiona cyna pod cynową pokrywą nieba, które zdawało się opierać na nagich wierzchołkach drzew tworzących w górze jakby wielką cierniową koronę. Szare kształty wznoszącego się na przeciwległym pagórku rezerwoaru tonęły w równie szarej mgle. Łabędzie nawet, z których parę podpłynęło uroczyście ku swemu przyjacielowi, wyglądały jakby brudne i skurczone.

Niezapomnę nigdy dziwnie uderzającej sprzeczności pomiędzy tem życiem konającem w naturze, a tem drugiem, które zdawało się wrzeć i kipić w tej młodzieńczej piersi, pełnią zdrowia, siły i szczęścia. Nawet ten liść pomarszczony i zwiędły zdał się po to tylko tkwić w jego uśmiechniętych ustach, aby podnosić ich świeżość. Zatrzymałam się mimowoli i niewiem czemu i mnie rozjaśniło się w duszy... Świat wydał mi się mniej chmurnym i brzydkim skoro byli na nim ludzie tak pogodni i piękni. Po chwili mój nieznajomy poruszył się, a ja odeszłam wdzięczna mu prawie za to wrażenie promienne, jakie na mnie odeń padło.

Bardzo szybko potem zima rozsrożyła się na dobre i nie widywałam go już więcej w ogrodzie. Za to spotkałam go kilkakrotnie na ulicy, parę razy w teatrze, a raz na wystawie sztuk pięknych. Gdym weszła stał przy samych drzwiach głównej sali przypatrując się niewielkiemu obrazkowi. Wracając zastałam go jeszcze przed nim. Zaciekawiona co tak długo zatrzymywało jego uwagę, przystanęłam także i zobaczyłam, że była to nieznanego mi pędzla, ale dziwnie głęboko odczuta i oddana ilustracja ostatnich słów pierwszego krymskiego sonetu: „Jedźmy, nikt nie woła”... W twarzy samotnego jeźdzca malowało się tyle tęsknoty i melancholji, ile jej było w spojrzeniu mojego nieznajomego, gdym na niego wzrok z kolei przeniosła. Wydał mi się bardzo zmienionym od czasu gdym go ostatni raz widziała, chociaż więcej duchowo niż fizycznie. Zdrowie kwitło w nim jeszcze, ale bystre oko mogło dopatrzeć pierwsze ślady roboty jakiegoś ukrytego robaka.

I znowu znikł mi z oczu na kilka miesięcy... Ku końcowi nieznośnie długo przeciągającej się zimy spotkałam go jeszcze raz w przejściu otulonego futrem, tak, że mu ledwo oczy było widać. Chód jego był bardziej ociężały i powolny niżby się należało po tak dorodnym młodzieńcu spodziewać, a gdy mnie wyminął usłyszałam po za sobą krótki kaszel...

Upłynął rok cały! Nie widując już wcale nieznajomego, prawie zupełnie zapomniałam o nim. Nadeszła druga wiosna, która, jakby wynagradzając zwłokę swojej poprzedniczki, zawitała wyjątkowo wcześnie i dojrzała tak prędko jak dojrzewają piękne, namiętne kobiety południowych krajów. W połowie kwietnia była już w całym rozwoju swych wdzięków: słoneczna, rozśpiewana, obrzucona białem kwieciem drzew owocowych i przesiąknięta jędrną wonią czeremchy.

Nikt mnie chyba nie posądzi o ekscentryczność gustów, gdy powiem, iż uwielbiam wiosnę... Wywiera ona na mnie wpływ dobrotliwszy niż cobądź innego na świecie. Wiosną chowam dawne smutki do kieszeni, a na obecne przykrości patrzę z pobłażaniem. W dodatku napadają mnie różowe przeczucia i zdaje mi się, że z tyloma rozkwitającemi kwiatami i dla mnie jakaś pomyślność wykwitnąć musi.

Otóż w tak szczęśliwem usposobieniu szłam znowu pewnego dnia przez ogród Saski, który, jak wiadomo, tylko w tej porze roku ma jeden przelotny błysk prawdziwej piękności. Droga wypadała mi, jak zawsze, koło stawu. Mówiłam sobie, iż od wczoraj jeszcze się tu ładniej zrobiło i żałowałam tylko tego, że ten śliczny ogród taki pełen ludzi, którzy dziwnie patrzyliby na mnie, gdyby mnie tak zdjęła chęć podskoczyć lub zanucić dla objawienia jak mi lekko i wesoło na duszy...

Nagle zadrżałam i cofnęłam się ponownie... Na ławce, w opróżnionem już od tak dawna przez niego miejscu, siedział mój młodzieniec. Twarz jego wydłużona, zapadła, o cerze suchotnika w ostatnim stopniu, opierała się ostro zakończoną brodą na piersiach.

Siedział w samem słońcu, miał na sobie ciepłe palto, szyję okręconą szalikiem i drżał jak w febrze, zasunięte w rękawy ręce przyciskając do siebie. Postawa jego wyrażała najzupełniejsze wyczerpanie sił fizycznych, bolesne znużenie moralne i jakby już grobową martwotę. W jednej chwili, z całą wyrazistością odświeżonego wspomnienia, stanął mi przed oczyma ów dzień październikowy w swojej jesiennej szkaradzie i on jakim był wówczas. Teraz u jego stóp nie stała już roztopiona cyna, lecz drżały lekko i połyskiwały w słońcu roztopione turkusy, nad jego głową takie same morze turkusów kąpało w swoich falach białe i różowe kopułki kwitnących kasztanów, a łabędzie podpłynąwszy pod sam brzeg wyciągały rozkosznie szyje i miłośnie trącały się skrzydłami. Wielki hymn życia zdawał się brzmieć w każdej najdrobniejszej trawce, tylko nie w tej jednej ludzkiej piersi!.. I jak wtedy tak i w tej chwili przenikające wrażenie tego drugiego kontrastu wstrząsnęło mnie do głębi, tylko, że teraz zamiast promienia światła, padł mi w duszę cień smutny, jaki pada od wielkich, samotnych ruin. Stałam jak przykuta, starając się wyczytać w tych naznaczonych piętnem śmierci rysach tragiczną jej walkę z takiemi zasobami młodości, sił i szczęścia, na jakie przed kilkunastu miesiącami z tego samego miejsca patrzyłam, aż wreszcie odeszłam powoli i ze spuszczoną głową, jak się odchodzi od trumny lub z cmentarza...

Od tego dnia nigdy już więcej nie widziałam mojego młodzieńca!

Hajota.

ŁZY KRÓLEWSKIE.

Stało się! stało! Memfis już wzięte,
Już w niem panuje Pers srogi!
Znieważa wszystko czyste i święte,
Druzgocze ludzi i bogi!

I król Psamenit w pętach niewoli
Patrzy na lud swój nękany;
I już go nawet teraz nie boli,
Że ma na rękach kajdany.

Tak... już nie boli go nic na świecie,
Bo nie zapłakał dziś zrana,
Gdy córka jego, najdroższe dziecię,
Szatą niewolnic odziana,

Szła, niosąc wrogom wodę na głowie,
Za nią jęczące dziewice:
Włos sobie z głowy rwali ojcowie,
Król tylko blade miał lice.

Wkrótce szła mimo inna drużyna;
Słyszał jej kroki mierzone:
Widział na przodzie swojego syna,
Co miał wziąć po nim koronę.

Iście królewskiej był też urody:
W szlachetną godność bogaty,
Kibić podobną miał palmie młodej,
Teraz odarto zeń szaty.

I na toczonej młodziana szyi,
Ojca źrenica widziała,
Jak skręt potwornie splecionej żmii,
Uzdę — z powrozu kawała.

Pers dzierżył w ręku lic owych końce,
I gnał z nim wespół sto młodzi:
Z niebios na ziemię patrzyło słońce,
W ognistych blasków powodzi.

I ojciec patrzył — sucha źrenica
Żadnej łzy przecież nie miała;
Tylko bledszemi stały się lica:
Ręka w kajdanach zadrżała.

I nic... w królewskiej dumy uporze,
Pierś nie jęknęła ni razu;
Głaz — przy namiotu siedział otworze,
Wedle zwycięzcy rozkazu.

Aż niewolnice i niewolniki,
Gdzieś w głąb obozu spędzono;
Z gaju daktyli wonne wietrzyki
Poczęły chłodzić mu łono.

Dzień się już kończył — już, już nareszcie,
Wejść miała noc ugwiaździona:
Na wszystkie nędze, wszystkie boleście
Spaść miała cieniów zasłona.

Gdy wtem król ujrzał postać człowieka,
Zgiętego ciała połową;
Kto on był? widzieć nie mógł z daleka,
Lecz mówił — egipską mową!

Mówił... nie! żebrał — nędzarz zgłodniały,
Prosił u perskich żołnierzy,
O chleba jaki zuchełek mały,
O jaką resztkę wieczerzy.

I król Psamenit wydał krzyk głuchy,
Aż drgnęli jego siepacze:
— O bogi! — wołał — o ojców duchy!
Czy wy słyszycie? — Ja płaczę...

M. Ilnicka.

Zeszłoroczny deficyt ekonomiczny.

Zamknęliśmy wczoraj roczny nasz bilans ekonomiczny z wielkim deficytem.

Stąpamy po ruinach bankructw, stajemy przed magazynami pełnemi nie znajdujących zbytu towarów, kasy banków zamknięte, kredyt niedostępny, zaufanie podkopane.

W czem przyczyna złego?

W źle ułożonym budżecie— zdawało nam się, że dość uzbroić granice państwa komorami celnemi, nałożyć na produkcję zagraniczną wysokie cło opiekuńcze,—a bogactwo sypać się będzie z rogu obfitości.

I w istocie, była chwila, iż złudzenie to zdawało się rzeczywistością...

Powstały liczne i różnorodne zakłady fabryczne, powiększyła się produkcja; przy zwiększonej ilości wytworów wzrósł handel; przy spotęgowanym ruchu przemysłowo-handlowym rozszerzyły się granice kredytu.

Wszystko to jednak nie znamionuje jeszcze dobrobytu narodowego. Produkcja i pośrednictwo są to tylko środki, ostatecznym zaś celem jest—konsumcja. Ten naród jest najszczęśliwszym, w którym największa liczba jednostek jest w stanie zaspokoić największą sumę potrzeb. A właśnie konsumenta w rachubie naszej pominęliśmy. I ztąd przerachowanie się. Do budżetu bowiem społecznego należy wnosić zarówno siłę wytworczą, jak i siłę spożywczą, danego narodu.

Elementarne zasady ekonomiki uczą, iż zbyt towaru ma się w stosunku odwrotnym do jego ceny, to znaczy, iż im droższy towar, tem mniejszy jego zbyt. W innych krajach ten przystępuje do budowy fabryki, kto oblicza, iż produkcja jego będzie tańszą od produkcji innych fabryk, że wyrób jego odniesie zwycięstwo w walce konkurencyjnej. Rachuba taka nigdy nie zawodzi, gdyż tani towar tworzy nowych spożywców. U nas dzieje się wprost przeciwnie.

Fundamentem, na którym budowane są krajowe fabryki jest wyrachowanie, iż produkcja będzie drogo sprzedawaną. Przemysłowiec nasz wie. że konkurent jego mieszkający po drugiej stronie granicy, jest w stanie sprzedać swój towar nierównie taniej od niego; to go jednak wcale nieodstrasza, gdyż wie także, iż od przywozu taniego towaru zagranicznego chroni go wysokie cło opiekuńcze i niska wartość monety krajowej,—że produkcja jego chociaż droga, pomimo to znajdzie nabywcę. I w tem właśnie zostaje zawiedziony, bo jednocześnie z podniesieniem się ceny towaru, zmniejsza się liczba jego spożywców.

Przemysłowcy krajowi sprzedawszy przez szereg lat drogo swoją produkcję, zubożyli konsumentów, przerzedzili ich szeregi, zmusili ich do ograniczenia swoich potrzeb,—a bezpośredniem tego następstwem są stosy towarów, nieznajdujących nabywców i wszystkie w ślad za tem idące skutki.

Ażeby mieć pojęcie, o ile nasz spożywca drożej płaci od konsumenta zagranicznego, dość sobie uprzytomnić, iż łokieć materji kosztującej po tej stronie granicy 50 kopiejek, przeniesiony na drugą stronę, kosztuje tam tylko markę, t. j. 30 kopiejek, a pomimo to zagranica nie sprowadza naszych towarów, a to z tej prostej przyczyny, że jeszcze je taniej u siebie nabywa.

Jeden fałszywy krok sprowadza za sobą cały szereg innych. Improwizowany pod natchnieniem cła przemysłowiec, mając wlepiony wzrok wyłącznie w możliwość osiągnięcia wysokiej ceny, lekceważy wszystkie czynniki, zdolne jedynie zapewnić powodzenie przedsiębiorstwu. Przystępuje do interesu bez należytego przygotowania, bez znajomości przedmiotu, bez dostatecznego kapitału. Brak technicznych wiadomości zastąpić usiłuje przez sprowadzonych z zagranicy dyrektorów, których wątpliwej nauce i sumienności ślepo zaufać musi, niedostatek własnego kapitału zastępuje kapitałem na wysokie, często lichwiarskie zapożyczonym procenty.

Brakowi technicznych wiadomości, tudzież niedostatkowi kapitału, towarzyszy często nieumiejętność administracji, lekceważenie oszczędności, życie nad stan i zbytek, konieczne w takich warunkach dla zyskania i utrzymania kredytu...

Za wszystkie te błędy, za wysokie te ofiary, ma płacić — konsument!

Rezultat jednak takiej gospodarki bywa ten, iż część konsumentów ofiar takich ponosić nie jest w stanie i musi się wyrzec nabycia niedostępnego dla nich towaru, ta zaś część, która zbytek taki pozwolić sobie może, płacąc cło od zagranicznego towaru, jeszcze korzystniej na tem wychodzi, aniżeli gdyby płacić miała za brak nauki, kapitału i oszczędności krajowego producenta.

Sprawdziliśmy tedy w krótkim czasie na własnem doświadczeniu fakt, w nauce i praktyce wielokrotnie tak w życiu jednostek, jak w życiu narodów stwierdzony, że pod skrzydłami zbytniej protekcji lęgnie się nieuctwo i niesumienność, a tylko w twardej szkole własnej pomocy dojrzewają nauka i charakter.

Nie przywiązujmy tedy tyle co dotychczas wagi do protekcji, nie budujmy na kruchej tej podstawie gmachu ekonomicznego naszego bytu; wnośmy natomiast do budżetu naszego: naukę, pracę i oszczędność, a nie staniemy przy zamknięciu ksiąg przed tak smutnym deficytem, jak w końcu upłynionego roku.

Józef Kirszrot-Prawnicki.

PRZYPOMNIENIE.

Do ***.

Po co mam stawać między pochlebce?
Dosyć ich miałaś już.
Wolę powtórzyć co przy kolebce
Szeptał ci anioł stróż:

— „O dziecię lube! wesel się z wiosną,
„Krótko masz na to lat;
„U twej kolebki ciernie już rosną,
„A cóż gdy pójdziesz w świat?

„Za nadto niegdyś spełniano czary,
„Toć na dnie został męt:
„I w przyszłość mało dano wam wiary,
„I do przeszłości wstręt.

„O dziecię lube! ucz się co żywo
„Swój krzyż społeczny nieść,
„Dochować wiary w przyszłość szczęśliwą
„I mieć dla ojców cześć.

„Świat cię opasze swojemi sploty
„Jak ów Edenu wąż,
„Ujrzysz stargane najświętsze cnoty,
„A tryumf zbrodni wciąż.

„Patrzaj naówczas w księgę natury,
„Ona mistrzyni twa:
„Wstają i giną gromowe chmury,
„A zrąb gwiaździsty trwa.

„Jeno kto przebył życia odmęty
„Zasłużne weźmie swe:
„Biedny, kto pierwej nim cel dopięty
„Spoczynek znaleść chce!

„Idź i niech wiara [illegible],
„Miłość pokrzepia cię;
„A gdy odpłaty nadejdzie chwila,
„Przy sobie najdziesz mię."

W. Korotyński.

Po wystawie elektrycznej.

„Czy znacie tę bajeczkę?"

Wesołe to pytanie starego Jowjalskiego nasunęło mi się mimowoli pod pióro, skoro wspomniałem o wystawie elektrycznej, zdaje mi się bowiem, iż wszyscy wokoło krzyczą: „znamy, znamy!"

„A więc, kiedy znacie, no... to słuchajcie!"

Wprawdzie o elektryczności bardzo szeroko u nas w ciągu ostatnich kilku miesięcy pisano, ale źleby było, gdyby na tem tylko ograniczyć się miało zajęcie, jakie w społeczeństwie naszem wystawa wywołała: winno się ono wyrodzić w głębsze zamiłowanie nauk przyrodzonych.

Już z powodu bliższego sąsiedztwa wystawa wiedeńska miała u nas rozgłos większy, aniżeli jej poprzedniczki, ogół ze zdumieniem usłyszał o rzeczach, o których żadnej nie miał świadomości, zaciekawił się nową gałęzią wiedzy i opartego na niej przemysłu.

Jak silnie wystawa oddziała na dalszy rozwój elektrotechniki, czy nada nowy impuls badaniom naukowym, trudno to teraz powiedzieć... Ale ten właśnie wpływ jej na ogół, który obraca się daleko od dziedzin nauki, na tłumy, które wystawę zwiedziły, które o niej słyszały lub czytały, jest niezaprzeczony. Zdołała ona przezwyciężyć obojętność, z jaką się ogół względem spraw nauki zachowuje.

Bo też żaden niewątpliwie dział wiedzy nie potrafi wywrzeć wpływu tak pociągającego, jak właśnie elektryczność. Działa tu zarówno tajemniczość tej siły, dla ujęcia której nie posiadamy zmysłów, jak dla światła lub ciepła, jak również i olbrzymie skutki, któremi się ona ujawnia. Ileżto uciechy w szkolnych naszych latach sprawiała nam choćby skromna maszynka elektryczna z nieodstępną butelką lejdejską? A cóż dopiero, gdy nas otoczą cuda dzisiejszej elektrotechniki, gdy ujmiemy rozwój olbrzymi i nagły, któremu nauka o elektryczności uległa?

Ale też wszystkie działania elektryczności uczą wyraźnie, iż nie jest ona odrębną w przyrodzie zagadką, że wiąże się ona z pracą mechaniczną i chemizmem, że przenosi głos i siłę, że wytwarza światło i ciepło; nie wiele jeszcze wiemy o prądach elektrycznych, które po nerwach naszych i mięśniach płyną, a zaledwie domyślać się zaczynamy, iż i ze słońcem łączą nas węzły elektryczne!

Elektryczność więc, to tylko ustęp jeden, to tylko kartka z dziejów przyrody wydarta, a kto ją chce rozumieć, winien się w ogólne życie przyrody wtajemniczyć.

O potrzebie nauk przyrodzonych, o ich wartości praktycznej o ich znaczeniu w wykształceniu ogólnem świergocą już wróble na dachu... Pomimo to znajomość ich w społeczeństwie naszem wzrasta nader powoli, owszem, zdaje mi się, że poziom ich śród naszego ogółu ukształconego wypada dziś niżej, aniżeli przed laty kilkunastu. Przyczyn smutnego tego stanu rozbierać tu nie będziemy; spojrzmy raczej, jakiemi drogami poziom ten może się podnieść.

Na pierwszem miejscu przytoczyćby należało odczyty przyrodnicze, gdyż te znajdują pewne powodzenie, choć wpływ ich jest ograniczony i przelotny.

Ważniejszą byłaby książka. Stan danej nauki w kraju wybija się najwyraźniej w piśmiennictwie. Ale książek przyrodniczych wychodzi u nas skąpo, nader skąpo,—brak piszących, brak czytelników. Autorowie możeby się znaleźli, ale księgarze... twierdzą, iż „u nas tylko książki dla dzieci dobrze się rozchodzą"...

Do pomocy książkom stają czasopisma. Jest *Wszechświat*, jest *Pamiętnik fizjograficzny*. Wiadomo, jaką drogą pokrywają one swój niedobór. Czyż zawsze tylko ofiarnością stać będą?

Ale w naukach przyrodzonych odczyt, książka, pismo nie wystarczają. Aby lwa poznać, nie dosyć o nim słyszeć, czytać, nie dosyć nawet mieć jego wizerunek—trzeba go widzieć. W księdze przyrody bezpośrednio czytać potrzeba, książka drukowana jest tylko przewodnikiem, pomocą. Gdy o zjawiskach przyrody mowa, należy je widzieć, wywoływać je, potrzeba doświadczać, — bez przyrządów obejść się nie można.

Mówimy tu przedewszystkiem o elektryczności. Czyż czekać mamy wystawy elektrycznej w Warszawie? A kto marzy o tem?

W Londynie, gdzie zarówno badania naukowe jako i rozpowszechnianie wiedzy bystrem płyną korytem, poradzono sobie szczęśliwie. W obszernych salach *South Kensington Museum* ci, którzy chcą ba-

dać, którzy chcą się uczyć tylko, znajdują pomoce, znajdują przyrządy; każdy sam doświadczenia prowadzić może, od narzędzi prostych, łatwych, przechodzi do bardziej zawiłych. Dzięki tej i podobnym instytucjom, Londyn jest dziś stolicą elektrotechniki.

Warszawa nie jest Londynem. To prawda, ale nietylko Londyn zdobyć się może na środki do posuwania i rozpowszechniania wiedzy.

W Sztutgarcie zrozumiano ważność elektrotechniki, chciano zapoznać ogół z jej zdobyczami. Nie czekano wszakże wystawy,—w tamecznem muzeum przemysłowem otwarto osobny oddział elektrotechniczny, który od kwietnia r. 1883-go otwartym jest dla wszystkich, co chcą sami badać, lub przyglądać się tylko. Wieczorami prowadzą się tam doświadczenia i odczyty. Oddział ten utworzono z przyrządów, które się już poprzednio w muzeum znajdowały, lub też z nowonabytych; przemysłowcy nadsyłają tam chętnie swe machiny i aparaty. Sztutgart posiada tedy istotną wystawę elektryczną, skromną wprawdzie, ale.... trwałą.

Takich przedewszystkiem pomocy wymaga rozwój nauk przyrodzonych w kraju naszym.

Nie święci garnki lepią. Prawda ta nigdzie się tak wyraźnie nie ujawnia, jak w elektrotechnice. Wielcy wynalazcy, Ruhmkorff, Gramme, Edison wyszli zpośród robotników. Sam genjalny Faraday był chłopcem u introligatora, ale żył w kraju, gdzie dostęp do nauki szeroko jest otwarty. Bez środków pomocniczych, ani nauka ani przemysł w kraju się nie rozwiną, wynalazki nie zakwitną nigdy!

Niby okrzyk tłumu rzymskiego — *panem et circenses*, toczy się w *Kurjerze Warszawskim* spór o to: teatr czy warsztat? — nie zapominajmy, że i nauka jest górującym czynnikiem duchowego i materjalnego bytu społeczeństwa.

Te myśli nasuwają się nam po wystawie elektrycznej....

Stanisław Kramsztyk.

FRAGMENT

. . . .

Stare szyderstwo! stare bogów prawo!
W przepaściach wieków słyszę śmiech Histrjona..
Czy człowiek kocha, czy pędzi za sławą,
Czy wiedzy szuka, czy cierpi, czy kona,
Zawsze on widzi maskę jakąś krwawą,
Co stoi nad nim dziwnie wykrzywiona—
Jakby tam, w górze, Olimp rozpasany.
Czynił z nas sobie wieczne Atellany.

. . . .

Darmo uciekam na wyżyny ducha,
I staję—cała w gwiazdy opłynięta...
Nademną straszny śmiech jakiś wybucha.
W rękach mi brzęczą niewoli mej pęta...
Jakaś źrenica okropna i sucha—
Co płaczu nie zna—i łez nie pamięta,
Jaskrawo za mną po ciemnościach chodzi,
I szydzi z dziecka—zanim się narodzi.

. . . .

O! bądź miłościw, i na małą chwilę
Zakryj mnie dłonią, jak ptaka bez pierza...
Niech odrobiną prawdy się posilę...
Niechaj dokończę mojego pacierza...
Niech kwiat zasiany wzejdzie na mogile...
Niechaj posłucham, jak serce uderza...
Niechaj lot wezmę przez okręg słoneczny...
Ty—możesz czekać! Ty—Ty jesteś—wieczny!

. . . .

Marja Konopnicka.

Życie i życie.

Jest życie i życie: jedno ciągnie się przez wieki, drugie ustaje z każdym słońca zachodem. Tamto jest objawieniem się ducha świadomego siebie, to—tylko ruchem bezwiednie w człowieku żyjącej natury. Pierwsze mamy dla wszystkich, drugie—tylko dla siebie. Jednem żyje człowiek—atom, drugiem człowiek—całość.

Wszystkie nasze dążenia, prace i bóle, niebiańskie nadzieje i śmiertelne rozpacze młodości, ciężkie zabiegi i znoje wieku późniejszego: wszystko to są rzeczy małe, marne i nędzne, gdy się wyłącznie tylko około nas samych obracają. Życiem wyższem żyje dusza dopiero wtedy, gdy zapomina o sobie.

Gromada istot ludzkich krzątających się dla bytu swego, jest jakby tłum żyjątek ruszających się w kropli wody. Bez wytchnienia, bez spoczynku „gonią za żywiołami drobniejszego płazu"—zjadają się wzajemnie i przepadają. Kto przez życie swoje myślał, czuł i mówił zawsze tylko *ja*, a nigdy *my* nie powiedział, ten całe swoje *ja* zabierze z sobą do grobu.

Każdy ma w sobie naturę i każdy więc życiem dwudziestoczterogodzinnem żyć może i musi; kiedy tymczasem życie owo wyższe lub *specie aeternitatis*, pod formą choćby ziemskiej jedynie wiekuistości, dostępnem jest tylko dla arystokracji duchów: dla tych, których widnokrąg nie kończy się na ich domu, majątku, fabryce, warsztacie i kasie ogniotrwałej; którzy serce swe, dom i pracownię w powszechności całej mieszczą, a do pracy swojej potrzebują światła ideałów urągających ciemności i śmierci.

W życiu małem główną rolę grają zmysły i nerwy, temperament i egoizm; w życiu wielkiem—nie uczucie, nie wyobraźnia, ale rozum i wola: dwie władze tylko na gruncie umysłowości wzrastać zdolne. Przy słabym rozwoju umysłowym najdzielniejsze zarodki dusz przepadają, najlepsze chęci piekło do siebie zabiera, najszlachetniejsze dążenia przeradzają się w zgubne kierunki; talent obumiera, jałowieje cnota i miłość bezpłodną się staje.

Gdy umysł nie żyje, to i dusza pustą być musi, życie trwaniem tylko jest, a ideały, zamiast być bóstwami królującemi nad światem, są tylko bengalskiemi ogniami wyobraźni. Przewaga życia dwudziestoczterogodzinnego nad wiekuistem, zmysłowego nad umysłowem, do śmierci prowadzi i sama z siebie już śmiercią jest. Ciągłość bytu duchowego tylko przez rozum zachować można, bo w rozumie tylko duch świadomy siebie istnieje.

Społeczeństwo każde zatem starać się powinno o jaknajwiększy rozwój umysłowy, o poznanie i wiedzę, o wszystko, co rozpala i podtrzymuje rozum—tę władzę prawodawczą świata. Co się przez działalność umysłową dokonywa, to już nie przepada, nie marnieje, nie zstępuje wraz z człowiekiem do grobu. W historji żyje się nie tem, co się dla siebie spożyło, ale tem, co się niespożytego dla następców swoich zostawiło.

Wiekuiste formy bytu są tylko skapitalizowaną wolą i rozumem przychodzących po sobie pokoleń; każde z nich do zasobów dawniejszych, stanowiących wspólną własność wszystkich, dodaje od siebie nowe zdobycze kultury i cywilizacji, nowe czyny, zasady i instytucje publiczne, nowe owoce trudów naukowych, nowe utwory literatury i sztuki: a ten duchowy majątek, jest zarazem i życiem duchowem ludzkości—jest ludzkością samą.

Takiego życia, takiego majątku — jak najwięcej!

Stanisław Krzemiński.

Omen.

(Przepowiednia).

Hej! mazury, kto ciekawy
Zkąd ja rodzic, gdzie mój statek?...
Temu powiem od Warszawy,
I od samych, od rogatek...

Z mej małości pomnę mało:
Domek nędzny, parkan, deski,
Czarno w lecie, w zimie biało,
Gdzieś wiślany pas niebieski.

Stary litwin, mnie pacholę,
Uczył chodzić—bom wciąż padał...
Biegaj chłopcze — siedzieć wolę,
Staruszkowim odpowiadał...

Próżne były dziada zdania.
Aż wydumał pomysł boski,
Na przynętę do biegania
Pozłacany orzech włoski,
Ni to berło, ni buława,
Co to będzie rzecz ciekawa...

Zbieram siły lecę po nie,
Za buławą złotą gonię...

A dziad coraz kij oddali,
Kiedy jestem tuż przy kresie,
Coraz dalej, dalej niesie,
A mnie chwali, wciąż a chwali...

Wreszcie daje dla uciechy,
Gdy w bieganiu już ustanę—
Złoty orzech.. Oj! orzechy,
Robaczywe, malowane...

Był to niby Omen srogi,
I dla duszy i dla nogi...

Celu! w życiu mem bobaczem,
Latać gonić byłoż za czem?

Potem jeszcze przypomina
Coś drugiego dziad kaleka,
Świętojanki, koniczyna,
Kraj i pełna wianków rzeka.
Ona śliczna warszawianka
Na Jan święty na wilijię,
Na wilijię wianek wije,
Z róż, liliji i tymianka...
I mnie mamka na ów ranek,
Za grosz, za dwa dla dzieciny,
Zakupiła także wianek,
Ale wianek z koniczyny...

Idę niosę, ach! wspaniały,
Pół zielony a pół biały...
Wonny jak rodzinna niwa,
Gdy po deszczu woda spływa...

Płyńże wianku za drugiemi,
Bóstwa ciebie przyjmą wodne;
Albo śliczne panny godne,
Mazowieckiej mojej ziemi...

Na wybrzeżu Mazur żwawy
Wiedzie konie do przepławy,
Z brzegu wjeżdża w Wisłę śmiało.
Jeno sobie raźno śwista,
Wisła modra, woda czysta,
A od wianków wkrąg aż biało.

Rzucaj!.. rzucam.. losie srogi!
Płynie wianek mój!.. nie płynie...
Dzięki wonnej koniczynie,
Koń go hapnął na pół drogi.
I ot wieniec mojej sławy,
Zżarła szkapa od Warszawy.

Omen! omen! — a kochanka —
— A tak, prawda, w książce złotej
Wciąż jak wiła wije sploty,
Z róż, liliji i tymianka.

Bodaj, bodaj was poeci
Uwięzili w swojem sidle...
W księdze jest o srebrnem skrzydle,
Lecz od książki nie odleci...

Takiej jak ta z marzeń wianka,
O rozpaczy nie zobaczy,
Krakowianka, warszawianka,
Ani wianka, o! rozpaczy,
Z róż, lilij i tymianka.

Omen! omen!.. jak sny we dnie,
Czyż nie dosyć pomyśl chwilę...
A o wiosce przepowiednie,
Te się sprawdzą, lecz w mogile...
Moje czary, moje nuty,
Moje myśli prosto z nieba...
Będę ziemi miał dopóty...
Więcej nawet jak potrzeba,
Gdy poigra wiatr z czerepem,
Pustem polem, głuchym stepem,
Gdy przeboli to co boli,
Będę ziemi miał do woli...

Więc nadzieja cię kołysze,
Życia w bratnich serc pamięci?
— Dajcież pokój moi święci,
Na tej strunie wieczne cisze,
Wieczne cisze, wieczne cisze.

Teofil Lenartowicz.

Flor. 1873.

PODARKI KOLENDOWE *).

Gdyby podarki kolendowe nie były we zwyczaju, należałoby je wynaleźć.

Nie sądźcie przeto, iżby to była maksyma ku użytkowi małych dzieci, które przepadają za bakami i zajadają się cukierkami... Również nie wyrażam tej opinji mając na widoku jedynie, jakbyście to sądzić mogli, podarki jakie otrzymać się spodziewam... Wcale nie! Utrzymuję bardzo poważnie, iż zwyczaj dawania podarków kolendowych jest w zasadzie wielce umoralniającym—więcej nawet niż zakaz żebrania po domach i ulicach, więcej niż gilotyna i mnóstwo innych tym podobnych wynalazków filantropji współczesnej!

Nie ma potrzeby pisać całego traktatu dla dowiedzenia tej prawdy, iż aby poprawić człowieka, potrzeba wyrwać go z koła jego przyzwyczajeń i zmusić go do tego, iżby przestał myśleć o sobie tylko, a stał się dla innych hojnym.

Czyż nie jest więc już to samo potężnym na tej drodze krokiem, iż w dniu tym ogół obywateli zmuszony jest choć raz na rok do odmieniania słowa: *dać, dawać* przez tryby, czasy, liczby i rodzaje—słowa najsłodszego z istniejących.., rozumie się po słowie *kochać*?!

Skąpiec Moliere'a, który nawet „dzień dobry" pożyczał przez 364 dni w roku, dawał je darmo w tym 365-ym. Najzacietszy w skąpstwie właściciel domu obdarza kolendą stróża i noszącego wodę, co go na jedną chwilę z codziennej jego skorupy wyrywa. U ostatniego z egoistów jeszcze w dniu kolendy zadrży w sercu jakaś najgłębiej utajona struna...

Powtarzają, iż zemsta jest rozkoszą bogów; może tak było za czasów Olimpu, ale dziś zmieniło się to wszystko i dać choćby okruszynę chleba stało się przyjemnością większą niż zmiażdżyć choćby najbardziej natrętną istotę. Więcej siły i donioslości niż rozkosze, których doznajemy, mają dla nas rozkosze, które sprawiamy. Wszyscy w dniu podarków gramy w tę grę, w której przegrany wygrywa i ci, którzy najwięcej dają są najszczęśliwsi.

Cóż może być moralnie zdrowszego—jak uczynić troskę o bliźniego obowiązkową, przynajmniej raz do roku? Przekonany jestem głęboko, iż to budzenie szczodrobliwości choć rzadkie, nie pozwoli niejednemu sumiennie zasklepić się. Czy kto mruczy czy nie, czy narzeka lub jest kontent—pod tą datą równie jest niemożliwem każdemu nie być wspaniałomyślnym w swojej sferze, jak niemożliwem jest nawet dla największego tchórza nie stanąć do pojedynku gdy policzek otrzyma. Nacisk

---

*) We Francji podarki kolendowe są zwyczajem jeszcze więcej niż u nas przyjętym. Rozdają się wzajem w rodzinach, pomiędzy blizkimi przyjaciołmi, wszelkiego rodzaju służącym i osobom w jakiejkolwiek styczności z nami zostającym. Dniem zamiany tych podarków jest dzień Nowego roku. (*Przyp. red.*)

społecznego zwyczaju rozwiązuje nawet na gordyjski węzeł zawiązane sakwy.

Jakiż to rozkoszny przegląd—przegląd upodobań najbliższych nam krewnych i przyjaciół?! Stahl i Musset napisali „Podróż dokąd się komu podoba“—dokądże może być przyjemniej podróżować jak w sfery bezgranicznej przyjaźni? Svedenborg opowiada, iż aniołowie nie mówią do siebie, a jednak się rozumieją... Przy kolendzie i nam ludziom część tego przywileju się dostaje. Precz z... naiwnymi, którzy w prostocie ducha pytać aż muszą ukochanych istot, cobysię im najlepiej podobało. Odgadnąć to trzeba i jest to zagadka często bardzo przyjemna do rozwiązania. Spostrzegamy wtedy, że jakkolwiek wątłym jest nasz budżet pozwala on nam raz w rok być rozdającymi dary i czyniącymi przyjemności! Siejemy je hojną dłonią. W „Dziadach“ powiedziano jest

„Przeklęty, oto nie płaci!“

I w dniu tym spłacamy zaległości poświęceń, jakie dla nas świadczono, spłacamy je po cenie dobrej i sprawiedliwej, gdyż każdy sam się szacuje.

Jest to także dla nas sposobnością wywołania dziecięcych wspomnień. Przypominamy sobie dowcip i zręczność w podarkach kolendowych rodziców naszych i dawnych przyjaciół rodziny i sami naprzód radujemy się z powodzenia tych podarków jakieśmy wymyślili. Z drugiej strony nie odgadujemy niespodzianek spotkać nas mających. Dziecko naprzykład często w zarozumiałości naszej powzięte obliczenia zawstydza i gdy nam się zdaje, iż znamy je lepiej niż nas ono znać może, wynajdzie ono w małej swojej głowinie coś, czem nas wzruszy więcej nawet niż jemu zachwytu sprawi ofiarowana przez nas zabawka.

Z większą słusznością powiedzieć można o podarkach to samo co powiedział Voltaire o księżach—to jest, iż „nie są tem, czem ich być sądzi ogół śmiertelników...“ Stanowią one w moich oczach jedną z tam najsilniejszych przeciw racjonalizmowi i materjalizmowi naszych czasów. Są one skutkiem zwycięstwa nad rozumem, uczucia nad rachunkiem.

Niektórzy utopiści starają się przewidzieć jakiem będzie społeczeństwo nasze—gdy dojdzie do doskonałości w XXV-em stuleciu. Będzie to dzień kolendowy przez rok cały... przez 365 dni roku ludzie będą myśleli o pragnieniach tych, którzy ich otaczają i o sposobach najpraktyczniejszych tych pragnień zaspokojenia.

Zainteresowanie takie—jestem pewny—zbliży bardziej ludzi między sobą niż przebicie dziesięciu tuneli i przekopanie trzech międzymórz.

Kiedy nastąpi koniec świata?

Wtedy, gdy w wigilję kolendy nie będzie na świecie więcej niż dziesięciu sprawiedliwych, którzy przygotują podarki swoje na dzień następny. W dniu tym istotą najwięcej pożałowania godną nie jest biedny głód cierpiący, ale bogacz, który nie odczuwa potrzeby ofiarowania komuś czego...

Podarek sam przez się jest niczem—ze względu na jego wartość. Bierze on wartość swoją z uczuć, których jest objawem zewnętrznym. Zamieniając podarki zamienia się uczucia i odżywia się przeto swoje ognisko moralne. I czem więcej ognisko to rozgałęzi swoje promieniowanie, tem więcej po promieniach tych zbiegnie ku niemu szczęścia.

Niechże takim będzie jaknajprędzej los twój, niechże to szczęście ku tobie bieży czytelniczko—czytelniku—tego wam życzę zamiast podarku kolendowego.

Wł. Mickiewicz.

AFORYZMY Z TEKI PPAWNIKA.

Mówią, iż sumienie jest najlepszym sędzią naszych czynów.

Niestety! jednak od wyroków tego „najlepszego sędziego” apelujemy zazwyczaj do trybunału korzyści osobistej, który nazbyt często zmienia wyrok 1-ej instancji.

*

Sądy karne to armja, która pociskami swoich wyroków bronić ma społeczeństwo od jego nieprzyjaciół-zbrodniarzy.

Istotne tej armji żądanie polega nie na tem, ażeby wyrzucić jaknajwięcej pocisków, lecz na tem, ażeby pociski te były zawsze celnemi i trafiały jedynie w istotnych wrogów porządku społecznego odbierając im możność szkodliwej działalności...

*

Znałem wielu zbrodniarzy, lecz nie znałem jeszcze takiego, w którymby pod popiołem występku nie tlała bodaj jaknajsłabiej iskierka szlachetniejszego uczucia!

*

Statystyka kryminalna ujawnia, iż liczba zbrodniarek jest przeciętnie przeszło pięć razy mniejszą od ilości zbrodniarzy.

„Grzeczni” widzą w tem dowód większej cnotliwości kobiet...

Z drugiej jednak strony możnaby mniemać, iż wypływa to nie z różnicy stopnia cnoty, lecz po prostu tylko z różnicy stopnia odwagi.

Naturalnie, ostatni ten pogląd jest wynikiem „stronności i sceptycyzmu” i sądzę, iż nie podzieli go... żadna z pań.

*

Bywają okoliczności, w których człowiek szlachetny uważa za swój obowiązek spełnić czyn jakiś, uznany w kodeksie za zbrodnię i zagrożony sankcją kary.

Sądzę, iż u nas przynajmniej nik temu nie zaprzeczy...

*

Jakże często, siedząc w wygodnym fotelu, oburzamy się na nikczemnych zbrodniarzy, odmawiając im wszelkiego prawa do litości i pobłażania.

Ach! z pewnością i wielu z tych zbrodniarzy oburzyłoby się tak samo na teraźniejszych swoich kolegów więziennych, gdyby mieli byli od dzieciństwa... wygodny fotel!

*

Montesquieu zaznaczył istnienie trzech sądów, które, jego zdaniem, prawie zawsze różnią się w swoich wyrokach, i któremi są: trybunał prawa, trybunał religji i trybunał honoru.

Znakomity myśliciel francuski zapomniał o czwartym odrębnym sądzie—opinji publicznej, która nierzadko z wszystkiemi poprzedniemi pozostaje w kolizji.

Wreszcie jest jeszcze trybunał kasacyjny, który częstokroć unieważnia wyroki wszystkich tamtych, a którym jest... głos dziejów...

F. Nowodworski.

NASI ROCHDALCZYCY.

W odległości sześciu mil od Warszawy, na linji kolei warszawsko-wiedeńskiej, leży gmina Żyrardów.

Dawiej maleńka wioszczyna, bez imienia w historji i ekonomice kraju, jest dziś Żyrardów znanym nietylko w granicach Królestwa Polskiego, lecz i na odległych rynkach handlowych w Cesarstwie i zagranicą. Sławę swoją osada ta zawdzięcza rozmaitym przyjaznym okolicznościom; w pierwszym rzędzie zaś kolei, od której powstania rozpoczyna się też rozgłos Żyrardowa.

Dzięki ułatwionym komunikacjom powstała tu wielka fabryka płócien, prowadząca zaraz za sobą osiedlenie się całej armji robotników, co znowu spowodowało zaludnienie się miejscowości i przez innych procederzystów; obecnie znajdujemy w Żyrardowie nietylko robotników fabrycznych, lecz i kupców większych i mniejszych, i rzemieślników, i mieszczan rolników i właścicieli domów i t. d.

W ścisłem znaczeniu administracyjnem nazwa Żyrardów jest własnością tylko osady fabrycznej, że jednak osada ta jest główną arterją życia tamtejszego, posiada największą ludność i kieruje wszystkiemi stosunkami, przeniesiono ją więc i na resztę leżących opodal wiosek, jak Ruda Guzowska i Marjampol. Bo też na pozór trzy te miejscowości tworzą zupełną całość, jedną osadę i tak jest nawet w rzeczywistości. Życie zatarło podział administracyjny, a ogół mieszkańców zespoliło wspólnością interesów i łącznością stosunków.

Otóż w tym to Żyrardowie znajduje się w tej chwili około 14,000 ludności, mianowicie 8,000 robotników fabrycznych i 6,000 mieszkańców, poświęcających się innym zajęciom. Różnica fachów nie wytworzyła śród ludności żyrardowskiej tych kontrastów społecznych, jakie stanowią właściwą cechę miast wielkich. Nie, tu wszyscy mają jednakowe potrzeby i prawie jednakowe środki ich zaspokajania, jednakie też wymogi życiowe i pojęcia. Więcej wykształceni czytują pisma i książki, mniej wykształceni uczą się od tamtych.

Do charakterystycznych wreszcie właściwości Żyrardowa należy to głównie, iż jego ludność jest prawie wyłącznie pochodzenia krajowego; osadnicy złączyli się z nią oddawna.

Lecz w historji krajowego przemysłu Żyrardów miał zasłynąć nietylko swoją fabryką i jej wyrobami płóciennemi... W październiku r. 1883-go jeden z wykształceńszych tkaczów żyrardowskich przeczytał w *Kurjerze warszawskim* (nr 260*b* z dnia 6-go października r. z.) historję stowarzyszenia angielskich tkaczów w Rochdalu. Świetny rozwój angielskiej spółki, jej bogactwo dzisiejsze zastanowiły go. A czyby czegoś podobnego nie mógł mieć i Żyrardów?

Raz powziąwszy myśl taką, tkacz nasz nie opuszczał jej na chwilę, kreśląc w swej wyobraźni cały szereg sklepów spożywczych, kas kredytowych, magazynów, warsztatów i t. d. Historja Rochdalu wkrótce była znana w całym Żyrardowie. Od tego czasu nie było już mowy o tem, *czy* założyć stowarzyszenie, lecz o tem, w *jaki sposób* je urządzić.

Nie mogąc rozstrzygnąć tej kwestji własnym pomysłem, udano się po radę do naszej redakcji. Zasięgnąwszy informacji, żyrardowianie postanowili niezwłocznie założyć spółkę spożywczą, jako zasadniczy zrąb, na którym z czasem, w miarę rozwoju interesów, możnaby wznieść inne potrzebne urządzenia. Ze sklepu spożywczego może powstać w przyszłości kasa kredytowa i magazyny. Na początek jednak zatrzymano się na najgłówniejszej potrzebie — zaspokojenia potrzeb codziennego życia.

W kilka tygodni potem ustawa spółki spożywczej pod firmą „Oszczędność” była już gotowa, do czasu zaś jej przyjęcia postanowiono składać drobne fundusze, ażeby mieć kapitał potrzebny na założenie pierwszego sklepu.

Jak wiele już dziś zebrano, nie wiemy, gdyż sprawa spółki spoczywa w ręku kilku osób i jeszcze nie prowadzi się zbiorowo; lecz prawie każdy, aczkolwiek nie świadomy jej przebiegu, idzie w ślad rochdalczyków i oszczędza co może.

Nie wątpimy też, iż po otwarciu sklepu, „Oszczędność” żyrardowska stanie od razu na pewnym gruncie. Przemawia zatem choćby ten niezmiernie ważny wzgląd, iż nie będzie ona wytworem sztucznym, lecz owocem głęboko odczutej lokalnej potrzeby. Dotąd około przedsięwzięcia krząta się kilku przemysłowców drobnych, nie pozostających w żadnym stosunku z fabryką. Mają oni niepłonną nadzieję, iż po uzyskaniu koncesji, przyłączy się do nich większość samodzielnych mieszkańców Żyrardowa.

Ustawa spółki w dniu 30-m grudnia została podana do zatwierdzenia właściwej władzy administracyjnej, która zapewne wyda przychylną opinję o tych usiłowaniach i przyczyni się do zatwierdzenia statutu.

Żyrardów więc może kiedyś zostanie polskim Rochdalem...

Fr. Olszewski.

STARE DRZEWO i LATOROŚLE.

(Przypowieść).

Było drzewo odwieczne, lecz silne i zdrowe,
Co, wyżej z każdem latem strzelając w obłoki,
W każde lato bujniejszym wieńcem zdobiąc głowę,
Roztaczało pod ziemią na okrąg szeroki
Sieć korzeni potężnych, pracujących skrycie.
Na to by mu dać krasę, i siłę i życie.

A drzewo było mądre i wiedziało o tem,
Że z ich łaski urosło w takiego olbrzyma,
I że, jeśli mu wichry nie grożą wywrotem,
To ztąd, iż się rodzinnej gleby niemi trzyma;
Więc, wdzięczne, wiosną kwiat mu sypało obficie,
A przed zimą liść wszystek na ciepłe okrycie.

Ale burze i słoty, choć go nie zwaliły,
Jednak nieraz się dały uczuć mu boleśnie,
I niemało ująwszy czerstwości i siły,
Na pniu jego zasiały mchy i brzydkie pleśnie,
A na domiar nieszczęścia, drozdy i kwiczoły
Przyniosły na nie ziarnka nikczemnej jemioły.

I powoli, nieznacznie, pasożyty liche,
Okradając je z karmi, co mu z głębi ziemi
Posyłały korzenie, wzrosły w taką pychę,
Iż się znęcać zaczęły nad niem i nad niemi,
Drwiąc z drzewa, że się w zimie zielenić nie może,
Gdy one wciąż jednakie w każdej roku porze.

A do niknących pod ich łupiestwem gałęzi,
I do tych co je mrozy zniszczyły lub skwary,
Wołały: ,,niemoc wasza ztąd jest, że was więzi
I sprzęga w jedno ciało ze sobą pień stary,
Nie zdolny się oderwać od onych korzeni,
Które gniazdem i źródłem swego życia mieni.

„Bo i cóż wam dać może z tego grobowiska,
Gdzie wolny dech powietrza nigdy nie dolata,
Nigdy się jasny promień słońca nie przeciska,
Ani wieść nie dochodzi żadna z tego świata,
I gdzie wpośród zgnilizny, w mrok zapadłej głuchy,
Same się tylko gady lęgną i ropuchy?

„Jeśli więc chcecie zdrowie zachować i siłę,
To zerwać wam czemprędzej z tych korzeni matnią,
Co wlewając w was ciągle swoje soki zgniłe,
Niebawem zgubę na was sprowadzą ostatnią;
Więc choćby wicher wściekły w pomoc sobie weźcie,
Byle wasz sojusz z niemi raz się skończył wreszcie.“

A gałązki schorzałe, za słabe, by zdrowy
Brać pokarm z tego źródła, zkąd go brało drzewo,
Zdradzieckiej pasożytów słuchały podmowy,
I chwiały się od wiatru, to w prawo, to w lewo,
Wyglądając tej burzy, co, ich pień zwaliwszy,
I zerwawszy z korzeni, da im byt szczęśliwszy.

I spadła straszna burza! ale drzewo stare,
Dzięki swoich korzeni i pnia wielkiej sile,
Przetrwało ją,—zniszczeniu tylko na ofiarę
Poszły owe gałązki, co tej klęski chwilę,
Tęsknie przywoływały, a z niemi wespoły
Wicher uniósł i niecne zdradzieckie jemioły.

Nie traci więc otuchy, krzepiąc się radosną
Nadzieją, że z konarów potężnych w dni letnie,
Świeże, zdrowe mu pędy na nowo odrosną
I w liść bujny i kwiecie ozdobią je świetnie,
A rosą i promieńmi słońca zasilone,
Pysznie wzniosą ku niebu wspaniałą koronę.

Adam Pług.

BAJKI.

I.
ŻYJĄCY TELEGRAF.

Pani hrabina, podczas wizyty w zakładzie sierot, spostrzegła na korytarzu niezwykłą scenę: czterech chłopców wydzierało sobie podartą książkę, dość żwawo okładając się kułakami.

— Zdaje mi się dzieci, że się bijecie! — zawołała przestraszona dama. Za to żaden nie dostanie piernika i jeszcze pójdzie klęczyć.

— Bo proszę pani on mi zabrał Robinsona! tłomaczył się jeden chłopiec.

— Nieprawda, bo to on!... zaprzeczył drugi.

— Widzisz, jak kłamiesz! zawołał trzeci. To ty odebrałeś mi Robinsona.

Zakonica objaśniła damę, że mimo pilnego dozoru, podobne wypadki trafiają się dosyć często dzieci bowiem łakną czytania, a książek zakład nie posiada.

W sercu pani hrabiny zatliła się jakaś iskra. Ponieważ jednak nużyło ją myślenie, więc starała się zapomnieć o tem. Dopiero w salonie radcy, gdzie wypadło mówić o rzeczach pobożnych i dobroczynnych, opisała wypadek w zakładzie, wraz z objaśnieniem zakonnicy.

Radca słuchając, doznał też niezwykłego uczucia i, jako bieglejszy w sztuce myślenia, zawnioskował, że należałoby wysłać książki dla sierot. Przypomniał sobie nawet, że w szafie czy w kufrze, posiada cały stos butwiejących druków, które niegdyś kupował dla swych dzieci; lecz—za ciężki już był do grzebania się w rupieciach.

Wieczorem radca znalazł się u pana Z., któremu całe życie upływało na oddawaniu drobnych usług ludzkości zawartej między VII-mą i III-cią klasą urzędowej hierachji. Chcąc mu zrobić przyjemność, radca opowiedział panu Z. to, co hrabina widziała w zakładzie, co słyszała od zakonnicy, dodając ze swej strony, że — wypada postarać się o książki dla sierot.

— Nic prostszego! wykrzyknął pan Z. Wstąpię jutro do redakcji *Kurjera* i wpłynę na nich, ażeby zrobili ogłoszenie.

Na drugi dzień pan Z. wbiegł zadyszany do *Kurjera*, na wszystkie świętości błagając redakcję ażeby wezwała ogół do składania książek dla sierot.

Trafił szczęśliwie, ponieważ brakowało do numeru kilkuwierszowej wiadomości sensacyjnej. Jakoż referent wydziału uczuciowego siadł i napisał:

„Gromadka dzieci zostających pod opieką publiczną cierpi na brak książek.

Maleństwo tęskni.

Pamiętajcie o duszach głodnych!"

Potem gwiżdżąc wyszedł na obiad.

W parę dni później — w niedzielę — przed zamkniętemi drzwiami redakcji spotkałem ubogo odzianego człowieka z rękoma czarnemi jak u kominiarza, a wraz z nim szczupłą dziewczynkę, niosącą pakę starych książek.

— Czego pan sobie życzy?

Ufarbowany człowiek uchylił czapki i odparł nieśmiało.

— Przynieśliśmy, proszę pana, kilka książek dla tych „głodnych" co panowie pisali...

A szczupła dziewczynka dygnęła, rumieniąc się, o ile jej na to pozwalały początki bladnicy.

Wziąłem od niej książki i oddałem redakcyjnemu chłopcu.

— Jakże się pan nazywa? spytałem.

— Proszę pana — a na co to? odparł zmieszany.

— Musimy przecie wydrukować, kto dał książki.

— O! to nie potrzeba, proszę pana; ja przecie jestem ubogi człowiek, z fabryki kapeluszy... To niepotrzeba...

I odszedł wraz z mizerną córeczką.

Obok mnie stał uczony profesor fizyki i zapewne skutkiem tego przyszedł mi na myśl — telegraf nowej konstrukcji.

Główną stacją był zakład sierot, boczną — robotnik z fabryki kapeluszy; gdy jeden zasygnalizował „baczność" drugi natychmiast odpowiedział. Gdy jeden zażądał, drugi przyniósł.

My inni rzetelnie spełniliśmy funkcją słupów telegraficznych.

II.
KOCHA — NIE KOCHA?...

Pewnej nocy spotkałem na ewangelickim placu mego przyjaciela Karola. Wałęsał się tam i napowrót, z zadartą głową, w dziwnie bezładny sposób. Biegał w zygzak, stawał, cofał się, zbaczał, depcząc przytem trawniki i potrącając się o młode drzewka.

Zdawało mi się, że ma spieczone usta, a na twarzy niezdrowy rumieniec.

Nieodrazu mnie poznał i zaczął mówić z gorączkowym pośpiechem:

— Śmiejesz się? wiem, uważasz mnie za warjata. Swoją drogą nie oddałbym mego obłędu za twój doktrynerski spokój. Co mnie tam wasze wielkie kwestje!... Miłość—to kwestja...

— Wyglądasz kogoś?—spytałem.

— A naturalnie! — odparł tonem bezpotrzeby zuchwałym.—Mylisz, że się będę zapierał? Wcale nie. Powiem ci więcej: trawię tu na czekaniu godziny i wieczory i jestem szczęśliwy, gdy po tygodniowej włóczędze spotkam i popatrzę na *nią* — choć przez kilka minut.

— W każdym razie jest to męczące zajęcie.

— Urozmaicam je sobie, niekiedy myśląc—że mnie już kocha, a niekiedy odgadując — czy mnie kocha? Czasami wynajduję sobie zabawę losową i przechodząc z jednego końca placu na drugi, liczę kroki: „kocha"—„nie kocha" — „kocha"—„nie kocha"... Ale dziś wymyśliłem grę, która mi lepiej przypadła do usposobienia. Oto wybieram na niebie jakąś gwiazdę, a potem na placu wyszukuję taki punkt, z którego mógłbym spostrzedz ją na szczycie kościelnej kopuły. Gdy znajdę podobne miejsce odrazu, moja gwiazda błyśnie tuż nad krzyżem, to znaczy —„kocha"...

— A często trafiasz?

— Dosyć... i to mi sprawia nieopisaną rozkosz.

— No—dobranoc—rzekłem.

— Och!—szepnął, targając mnie za rękę —dziwi cię to, iż znalazł się człowiek, który ma odwagę mówić głośno, że—kocha i—jak kocha?...

Odszedłszy kilkanaście kroków stanąłem przy chodniku, a mój przyjaciel na nowo zaczął praktykę, taczając się jak pijany.

Na skręcie jednej ze ścieżek placu, tuż około zakochanego, mignęły dwa cienie. Para i samotnik nie spostrzegli się nawzajem; on bowiem był wciąż zatopiony w gwiazdach, a oni—w rozmowie. Szli pod rękę, zwolna i tak blisko siebie, że zdawali się tworzyć jedną całość. Dama pochyliła głowę na ramię mężczyzny, a on, zdaje się, że ściskał jej rączkę.

Gdy zbliżyli się do chodnika, padło na nich światło latarni. Dama była — *ona*, mężczyzną — drugi mój przyjaciel, pan Józef.

Przywitali się ze mną krótko, aby zbyć. Tylko *ona* nerwowo ścisnęła mnie za rękę i, topiąc zamglone oczy w moich okularach, rzekła półgłosem:

— Spodziewam się, że Karol nie będzie wiedział o tem ani słówka...

I odeszli, lecz *ona*, jeszcze odwróciwszy się, pogroziła mi i głosem, podobnym do szmeru gołębich skrzydeł, dodała:

— Bo będę się bardzo gniewać!...

Jestem pewny, że w tej chwili mój przyjaciel Karol widział gwiazdę nad szczytem kopuły.

III.
ORESTES I PYLADES.

Poznałem ich w restauracji, a kilka wyrazów sprawiły to, żem od razu do nich przylgnął. Po kolac i bowiem, gdy Orest zapytał Pyladesa: „mój drogi, gdzie są papierosy?" ten mu je podał ze swojej cygarnicy. A w chwilę później Pylades rzekł do Oresta: „czy ty wziąłeś portmonetkę?" „Ja" — odparł Orest. „No to piać — zakończył Pylades — i idźmy do domu".

Ludzie, którzy posiadają wspólną cygarnicę i portmonetę, zasługują na uwagę. W pierwszej chwili sądziłem, że to jacyś wyjątkowi bracia, lecz objaśniono mnie, że to tylko dobrzy znajomi.

— Bardzo dobrzy znajomi, — dodałem w duchu i złożyłem im wizytę. W drodze, ich wspólny przyjaciel powiedział mi, że gdy pewnego razu ktoś w złośliwy sposób odezwał się o dochodach Oresta, Pylades wyzwał go na pojedynek. Szczęściem Orest, dowiedziawszy się o zajściu, zaczepił swego oszczercę i zapowiedział, że — zabije go, jeżeli Pyladesowi spadnie bodaj włos z głowy.

Wobec tego oszczerca cofnął się i przeprosił obu przyjaciół.

Zapoznawszy się z tak wyjątkowymi ludźmi, odkrywałem w nich coraz nowe dowody wzajemnego przywiązania. Oto co się trafiło zeszłego karnawału.

Byłem u Oresta w godzinie, w której wybierał się na maskaradową schadzkę. Już kazał przynieść bieliznę i balowy garnitur, gdy wszedł Pylades.

— Co ci jest? — zapytał go Orest, spostrzegłszy niezwykły odcień na twarzy przyjaciela...

— Mam schadzkę na maskaradzie — odparł zapytany — no, ale cóż — kiedy mi nie odnieśli fraka...

— Więc bierz mój... — zawołał Orest.

— Tak, ale w dodatku praczka nie oddała mi koszuli.

— Moja jest w tej chwili kupiona, niechże ci służy — dodał Orest i trochę pobladł.

— A tobie co?... — spytał zalękniony Pylades patrząc przyjacielowi w oczy.

Orest milczał; za to ja się odezwałem:

— Ma schadzkę na maskaradzie.

— O facecie! — zawołał Pylades, ściskając przyjaciela. — I ty myślisz, że ja w podobnych warunkach, wziąłbym twój frak i koszulę?..

A widząc, że Orest nie zmienia zamiaru, dodał poważnie:

— Jeżeli niechcesz, ażebym z tobą zerwał, ubieraj się i idź...

Orest zaczął się ubierać i, śmiejąc się rzekł:

— Pani Zofja ma szczęście, no no!... A gotów dziś byłem nie dotrzymać jej placu.

— Pani Zofja?... — krzyknął Pylades.

Orest stanął przed nim jak posąg i przeszywając go wzrokiem zapytał:

— Więc to ty miałeś się z nią dziś zobaczyć?...

— A no — tak! — odpowiedział Pylades tonem szlachetnej rezygnacji.

— Więc ja... zostaję w domu — rzekł Orest z mocą.

— Nie, zostaniemy obaj — odparł Pylades.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem, lecz w końcu — uścisnęli się za ręce i obaj zostali.

Nie mogłem pohamować wzruszenia i ucałowałem każdego po kolei. Przyjaźń ich wytrzymała najcięższą próbę.

Dziś — siedzą obaj w więzieniu, pod zarzutem, że fałszowali stemple. Orestes posiadał wyjątkowy talent do niepochwytnego wyskrobywania liter: *K. O. P.*, a Pylades z nieporównanem mistrzowstwem wypisywał litery: *R. U. B.*

IV.
PLEŚŃ ŚWIATA.

Zdarzyło mi się być w Puławach z pewnym botanikiem. Siadaliśmy przy Sybilli na ławce pod olbrzymim kamieniem, porosłym mchami czy pleśnią, które od kilku lat badał mój uczony towarzysz.

Zapytałem: co ciekawego znajduje w przyglądaniu się nieregularnym plamom szarym, popielatym, zielonym, żółtym lub rudym?

Popatrzył na mnie z nieufnością, lecz przekonawszy się, że ma przed sobą profana, począł objaśniać:

— Te plamy, które pan widzisz, nie są wcale martwym brudem, lecz—zbiorem istot żyjących. Niewidzialne dla gołego oka rodzą się one, wykonywają ruchy, których nie możemy dostrzedz, zawierają związki małżeńskie, wydają potomstwo i wreszcie—giną.

Co godniejsza uwagi: tworzą one jakby społeczeństwa, które tu widzisz w postaci różnobarwnych plam,—uprawiają pod sobą grunta dla następnych pokoleń,—rozrastają się—kolonizują niezajęte miejscowości, a nawet — toczą między sobą walki.

Ta popielata plama, duża jak dłoń, była przed dwoma laty nie większa od czterogroszniaka. To malutkie, siwe piętno przed rokiem nie istniało i pochodzi od tej wielkiej plamy, która zajmuje szczyt kamienia.

Te znowu dwie: żółta i ruda toczą ze sobą walkę. Niegdyś żółta była bardzo rozległą, lecz powoli sąsiadka wyparła ją i zajęła jej miejsce. A spojrzyj na zieloną—jak żywa sąsiadka zapuszczą w nią zagony, ile na zielonem tle widać szarych pasków punktów i kęp?...

— To coś jak między ludźmi — wtrąciłem.

— No, nie — odparł botanik. Społeczeństwom tym brakuje języka, sztuk, nauk, świadomości, uczuć; słowem—brakuje im duszy i serc, które my, ludzie, posiadamy. Wszystko się tu dzieje na oślep, mechanicznie, bez sympatji czy antypatji.

W kilka lat później znalazłem się obok tego samego kamienia w nocy i przy świetle księżyca, przypatrywałem się zmianom jakie zaszły w formach i rozmiarach różnych pleśni.

Wtem ktoś mnie trącił. Był to mój botanik. Prosiłem go, ażeby usiadł; ale on stanął przedemną w ten sposób, że zasłonił księżyc i coś szepnął bezdźwięcznym głosem.

Sybilla, ławka i kamień znikły. Uczułem dokoła siebie mdłą jasność i niezmierną pustkę. Gdym zaś odwrócił głowę na bok, ujrzałem niby szkolny globus, błyszczący słabem światłem, tak wielki, jak ów kamień, obok którego byliśmy przed chwilą.

Globus zwolna obracał się, ukazując coraz to nowe okolice. Oto ląd azjatycki z małym półwyspem Europą; oto Afryka, obie Ameryki...

Wpatrzywszy się lepiej, dostrzegłem na zamieszkałych lądach takie same plamy szare, siwe, zielone, żółte i rude jak na kamieniu. Składały się one z mnóstwa nikłych punkcików, napozór nieruchomych, w istocie ruszających się bardzo leniwie: pojedynczy punkt posuwał się co najwyżej o dwuminutowy łuk w ciągu godziny i to nie w linji prostej,

lecz jakby wahając się około właściwego sobie środka ruchu.

Punkty łączyły się, rozdzielały, ginęły, występowały na powierzchnię globu; lecz wszystkie te zjawiska nie zasługiwały na szczególną uwagę. Poważny charakter miały dopiero ruchy całych plam, które zmniejszały się lub rosły, ukazywały się na nowych miejscach, przesiąkały się nawzajem lub wypierały z zajmowanych stanowisk.

Glob tymczasem wciąż krążył i zdawało mi się, że wykonał setki tysięcy obrotów.

— Czy to ma być historja ludzkości? — spytałem stojącego przy mnie botanika.

Skinął głową na znak potwierdzenia.

— Dobrze — ale gdzie tu są sztuki, wiedza?...

Uśmiechnął się smutnie.

— Gdzie świadomość, miłość, nienawiść, pragnienia?...

— Cha! cha! cha!... śmiał się cicho.

— Słowem — gdzie tu są ludzkie dusze i serca?...

— Cha! cha! cha!...

Zachowanie się jego uderzyło mnie.

— Kto ty jesteś?... — zapytałem.

W tej chwili znalazłem się napowrót w ogrodzie, obok kamienia, którego niekształtne plamy kąpały się w blaskach księżyca.

Towarzysz mój znikł, alem go już poznał po szyderstwie i melancholji.

V.

ZWIERCIADŁO.

U państwa X. był bal. Na ulicy furmani od godziny rozprawiali o przymiotach koni i niedogodnościach stajen. W kuchni miejscowa służba przemawiała się z najętymi lokajami, a ci wydrwiwali ciasnotę pomieszczenia, brak stołowych sreber i krzyczącą rozmaitość talerzy i półmisków. Wreszcie w salonie—pocił się garbaty fortepianista i skrzypek suchotnik, wirowały zadyszane pary, damy szeptały: *merci monsieur!* a od płonących świec i lamp, ciągnęły ku drzwiom niedostrzegalne smugi kopciu.

Co chwilę wchodził ktoś, stawał w otwartych drzwiach i, zapinając rękawiczki, pożartował w duchu z muzyki albo litował się nad szałem taneczników. Lecz wnet i jego odurzył swąd światła, w uszach zaczynało szumieć, w oczach robiło się biało, kremowo, niebieskawo, różowo, muślinowo, jedwabno i aksamitno, głowa ciążyła, nogi nabierały niezwykłej sprężystości i—biegł na środek posadzki, szaleć z innymi. A gdy spojrzał w rozgorączkowaną twarz tancerki i uczuł przy sobie ciepłe jej ciało, jad balowego tyfusu do reszty zakażał mu krew, oczy błyszczały a puls dosięgał 120 uderzeń na minutę. *Morbus saltandi* chwytała nową ofiarę.

Był dopiero początek zabawy, więc w tańczących, choć już stracili władze duchowe, tlił jeszcze instynkt podobania się. Większość pań i panów, spoglądając w przelocie na jedno z czterech luster salonu, jeszcze mogli dostrzedz jakiś niekorzystny rys w swojej powierzchowności. A gdy rozległo się sakramentalne: *merci monsieur!* jedno lub drugie ogniwo pary, wysuwało się z salonu, aby w lustrze dalszego pokoju dokładniej zbadać szczerbę w swych wdziękach. Wówczas między człowiekiem i zwierciadłem zawiązywała się milcząca rozmowa we dwoje.

Dama I-sza. Idalja wciąż uśmiecha się, patrząc na mnie. Mów, co widzisz, tylko prędko...

Zwierciadło. W tyle, z pod włosów wysuwa się podkładka.

Dama I. W którem miejscu?...

Zwierciadło. Z prawej strony.

Dama I. Wskaż dokładniej... Milczysz?... Cóż to za obrzydłe lustro!... (Wychodzi).

Mężczyzna I. Ciekawym, dlaczego dziś damy patrzą na mnie tak niechętnie?

Zwierciadło. Sztuczne zęby...

Mężczyzna I. Milcz potwarco!... (Wychodzi.)

Dama II. Co się ze mną dzieje, dlaczego jestem tak zmieniona?

Zwierciadło. Zły gatunek blanszu...

Dama II. Szkaradne lustro!... (Wychodzi.)

Dama III. Co to znaczy, jestem dziś najpiękniejszą, a tańczę mniej niż kiedykolwiek?...

Zwierciadło. Zlękli się wypożyczanych brylantów...

Dama III. Ach! jakież to niegodziwe lustro... (Wychodzi).

Słowem, ktokolwiek tu wszedł — kobieta czy mężczyzna, każdy wychodził z gniewem i wstrętem do zwierciadła.

W sali zagrano kontredansa i nastała chwila, że przez dłuższy czas nikt nie zaglądał do pokoju. Wtedy—rozsunęła się opuszczona portjera i na środek wbiegła kilkunastoletnia dziewczynka. Złożyła zwierciadlu piękny ukłon i patrząc z uśmiechem na odbicie swojej osóbki, zaczęła z nią rozmowę.

— Bardzo jestem kontenta, że znowu panią widzę. Ciągle nam przeszkadzają nagadać się. Pani musi wciąż tańczyć albo bawić gości, a ja...

„A pani dlaczego nie tańczy?"

— O, ja siedzę przy mojej córeczce... Jużem ją położyła spać.

„Zapewne i w pokoju stołowym ma pani dużo zajęcia?"

— Miałam bardzo dużo, ale bona wyprowadziła mnie ztamtąd.

„Więc dlaczegoż pani nie idzie do gabinetu papy?"

— Byłam i tam, ale papa kazał mi wyjść, bo jest zawiele dymu.

„Więc gdzież pani bawi, gdy ja tańczę?"

— Siedzę za portjerą i boję się, żeby mnie kto nie zobaczył...

„To pani jest bardzo nieszczęśliwą, szczerze panią żałuję!..."

Skończywszy rozmowę z samą sobą, dziewczynka wybuchnęła śmiechem i klaszcząc w rączki, zgięta wpół, przybiegła do lustra.

— Dobrze, kochane lusterko... Żebyś nie ty, jakby mi było smutno!

I wspiąwszy się na paluszkach, dodała:

— Chodź, dam ci za to buzi... Tylko ostrożnie, żeby nas kto nie zeszedł...

Bolesław Prus.

CHRYSTUS NAD GROBEM.

Z Wiktora Hugo.

W on czas Jezus w Judei bawił i widziano
Jak uzdrowił kobietę srodze opętaną
Jako leczył głuchotę i trąd szpetny ludzki;
Więc złem okiem kapłani go na ziemi judzkiej
Śledzili i wciąż o nim toczyli rozprawy.

A w Betanji był właśnie zmarł Łazarz, mąż prawy;
Miał on dwie siostry, Martę Marję, co z drogi
Gdy Jezus wracał mirrą skropiła mu nogi,
Czcząc Mistrza i Bożemu dając posłuch słowu,
Więc ktoś mu rzekł: „Zmarł Łazarz".

A nazajutrz znowu
Liczne na Jego drodze zebrały się rzesze,
I Chrystus je nauczał ku ducha uciesze
Mówiąc:
„Kto zemną, ten jest pod Boga opieką.
Jeżeli człowiek puścił się w drogę daleką,
Na skwarze, wśród pustyni, bez wody kropelki,
Gdy nie ma wiary, czuje na sercu żal wielki,
Więc rozpacza na dzienne niewytrwały znoje:
Ale jeśli uwierzył szczerze w słowa moje
Śmiało pójdzie znów przedsię niepomny mozołów."
Tu zamilkł i po chwili rzekł do apostołów:
„Łazarz śpi, ja go zbudzę i znów z nami będzie."
A oni mu odrzekli: „Pójdziem z Tobą wszędzie."
Więc z Jeruzalem kędy jest świątynia Boga
Jedynego, trzy dni trwa do Betanji droga,
Jezus szedł. Ponad głową słońce Mu jaśniało,
A suknia jego jak śnieg zdawała się białą.

Pierwsza Marta przed Mistrzem zapłakana stanie,
Wołając: „Czemuż z nami nie byłeś o Panie,
Umarł, gdybyś był przy nas i on byłby żywy!"
I wraz dodała płacząc: „Brat mój nieszczęśliwy.
Umarł już, więc zapóźno przybyłeś z powrotem."
A Chrystus: „Zkąd niewiasto sądzić tobie o tem?
Tylko żniwiarz stanowić ma o swojem żniwie."

Marja została w domu płacząc żałośliwie.

Więc Marta zawołała: „Pójdź powitać Pana."
I Marja przed Chrystusem padła na kolana,
Rzekł jej: „Niewiasto czego płaczesz?" „Tyś jest siłą
O Panie, Tyś jest życiem, a Ciebie nie było,
Więc umarł." A Chrystus rzekł: „Szczęśni co wierzycie
Dążąc za mną, bo we mnie jest światło i życie,
Śmierć się cofa przed tchnieniem łaski niespożytem."

Tak mówił. Tomasz zwany Dydymem był przy tem.

Piotr i Jan szli za Panem oczekując cudu,
A Chrystus do licznego tak przemówił ludu:

„Gdzieście go pochowali?"
„Ot tu, niedaleko"
Odrzekli i wskazali pod lasem nad rzeką
Łąkę, na której zdala kamień widniał biały;
Chrystus zapłakał.
Rzesze które przy nim stały
Mówiły tak:
„On kochał go, wszakże widzicie;
Więc jeżeli w swej dłoni dzierży śmierć i życie,
Jeżeli On jest Bogiem, który cuda stwarza
Ziemskie, dlaczegóż na śmierć pozwolił Łazarza?"

Więc gdy Marta z Chrystusem stanęła przy grobie
Rzekła: „Nadzieja moja i wiara jest w Tobie
Panie, z tymi wszystkimi cześć ci niosę razem,
Ale Łazarz dni cztery już leży pod głazem."

„Milcz niewiasto, rzekł Chrystus, i wierz, bo za chwilę
Ty ujrzysz chwałę bożą w całej swojej sile.

I kazał głaz odwalić; pod rąk ludzkich siłą
Runął i wnętrze grobu wszystkim się odkryło.

Więc Jezus się do grobu zbliżył, kędy ciało
Zmarłego pod całunem śmiertelnym leżało,
A tłum cisza zaległa, jakby na ołtarzu
Stawiono arkę, i Pan zawołał: „Łazarzu!"

Trup powstał opierając się o grobu ścianę,
Bowiem miał nogi w całun jeszcze oplątane,
Więc go śmiertelne węzły wstrzymywały w grobie,
Chrystus rzekł: „Rozwiążcie go i niech idzie sobie."

I wszyscy co tam byli uwierzyli w Pana.

Ale kiedy wieść o tem z ust do ust podana
Rozeszła się, żydowskich mędrców cała rzesza,
Widząc, iż się pojawił ten co zmarłych wskrzesza
I zwalcza grozę grobu, co przed nim ucieka,
Rzekła sobie:
„Czas na śmierć wieść tego człowieka."

Wacław Szymanowski.

Z TEKI PEDAGOGA.

W żadnej może nauce nie ma tyle dogmatów wątpliwej wartości, ile w nauce o wychowaniu.

Zformułowane zdania, maksymy, prawidła przechodzą ustną i pisaną tradycję z pokolenia na pokolenie, a choć wielu z nich wartość jest względna, lub podniesione do ogólniejszego znaczenia okazały się w zastosowaniu zawodne, ludzkość powtarza je jako zdobycze doświadczeń wieków i prędko się z niemi rozstać nie myśli; dużo też potrzeba odwagi, aby opinje, zwłaszcza podniesione do znaczenia wszechwładnego zakonu, w wychowaniu krytycznie wyjaśniać, a skuteczność ich działania w właściwych przedstawiać granicach.

Ileżto nie stoczono sporów o tak zwane ukształcenie estetyczne? jak przerozmaicie w zastosowaniu je pojmowano? jak wszechwładne. wszystkie inne działania zastąpić mające, przypisywano mu znaczenie? jak wreszcie uznawano je za najskuteczniejszy środek do ukształcenia moralnego, w tem przekonaniu, że upodobanie piękna budzi zarazem miłość ku temu co godziwe, zacne, szlachetne i dobre. I jakiż z tego okazał się skutek? Oczywiście nie inny, jeno ten, że prawda szczególna, podniesiona do znaczenia ogólnego zakonu ostać się na swem stanowisku ani w teorji ani w praktyce nie mogąc, padła ofiarą bezwzględnego krytycyzmu, który jakoby z zemsty za chwilową uzurpację władzy, przeczy jej mocy i skutku nawet tam, gdzie jej pożądanego, a nawet niezbędnego wpływu z dobrą wolą zaprzeczać nie można.

Krytycyzm, piętno obecnej chwili, a bardzo wątpliwa cecha prawdziwej naukowości, robi coraz to surowszy rachunek z tradycyjnemi dogmatami na polu wierzeń pedagogicznych. Nie mamy też nic przeciw wszelkim ściśle naukowym rachunkom, owszem pragniemy nawet w tej mierze podwójnej buchalterji, chcielibyśmy tylko usunąć rachunek podwójną kredą. Niech krytyka zgodnie ze stanem nauki i nowemi nabytkami doświadczeń, tkwiącym w umysłowości pojęciom właściwe wskazuje miejsce i odpowiednie zatacza zakresy; niech to, co było przez wiek prawdą, więc choć szczyptę po sobie ma prawdy, nie pada ofiarą czczej djalektyki bezwzględnie, jak się to ma rzecz między innemi właśnie z wychowawczem moralnem znaczeniem estetycznego ukształcenia.

Krytycyzm twierdzi, iż gdyby między artyzmem a moralnością zachodził jakikolwiek stosunek, to wszyscy artyści wszelkiej kategorji byliby zarazem wzorami pierwszorzędnych cnót, czego przecież nawet najgorętszy zwolennik teatru przyznać nie zdoła. Codzienne doświadczenie wskazuje, że estetyczne ukształcenie nie ma nic wspólnego z moralnością i charakterem. Ale na cóż tu doświadczenia, sama estetyka mówi tu za siebie, że sztuka nie ma nic wspólnego z etyką i morałem, ona ma stwarzać i pokazywać postaci złe lub dobre, głupie lub mądre, płoche, lekkomyślne i rozumne, przewrotne i prawe—wszystkie bez braku, byle prawdziwie i plastycznie. Krytycyzm twierdzi dalej, iż moralność odzywa się i interpeluje do zimnego, rozważającego rozumu, aby przywieść do jasnego rozumienia powinności i obowiązku, do uznania potrzeby ofiarności lub zaparcia się na rzecz wspólnego dobra, do wyrobienia sądu, mającego regulować nasze zamiary i postępowanie. Sztuka zaś zwraca się przez wrażenie zmysłowe do naszej fantazji i do migotnych uczuć, by zyskać nasze upodobanie i względy, a na tej podstawie nic racjonalnego przecież budować nie można, a najmniej moralności i charakteru.

Zapewne, gdyby taki był ostatni wyraz nauki o sztuce i jej cywilizacyjnem zadaniu, to wpływ tej królowej wychowawczy, nietylko nie byłby dodatni, ale owszem niweczyłby wszelkie inne wychowawcze wpływy, a społeczeństwo idealizowaniem i uświęcaniem zwykłej codzienności i trywialnego przebiegu wypadków doprowadzałby do indiferentyzmu, a nawet do przewrotności. Szczęściem, że estetyka mówi nam coś więcej o zadaniu sztuki, a ta odzywa się i interpeluje przez zmysłowe wrażenia nie tylko do naszej fantazji i uczuć, ale przez nie sięga do głębin naszej świadomości wszechstronniej i skuteczniej niż pedagogiczny krytycyzm przypuszcza. Przedewszystkiem: rozbudzenie poczucia moralności jest naturalnym i niezbędnym szczeblem do urobienia pojęć i zasad moralnych; rozbudzenie poczucia piękna jest naturalnym szczeblem, po którym wstępujemy do pojęć i zasad estetycznych. Komu braknie poczucia, czy piękna, czy prawdy, czy dobra, tego pojęcia w tym kierun-

ku nie wyrastają ze rdzenia duszy—pamięć jego może pochwytać i zatrzymywać całe szeregi frazesów, zdań, prawideł, zasad—ale przekonania tam nie masz. Moralność i piękno rodzą się na wspólnym gruncie poczucia, które jako właściwość mózgu więcej lub mniej rozwinięta, więcej też lub mniej pomaga temu organowi duszy do wyrobienia pojęć, zasad i praw, odrębnych wprawdzie w nauce, w umiejętności i w drukowanych książkach, ale nigdy w duszy człowieka lub w jego artystycznych kreacjach, wydanych pod wpływem natchnienia!

Każdy utwór sztuki wtedy tylko ma prawdziwie artystyczną wartość, jeśli jego duchową rozłogą jest rozumowa ściśle obmyślana idea. Tendencja obniża wartość artystycznej kreacji, idea zasadnicza zaś jest jej niezbędnym warunkiem, bez niej uie masz artystycznego utworu. Idea ta może być niezmiernie rozległa, obejmować sobą wyniki doświadczeń dziejów, prawdy, cały naród, całą nawet ludzkość obchodzące i kusić się o rozwiązanie najzawilszych pytań człowieczeństwa; obok tego jednak może być wyrazem indywidualnego tylko nastroju, chwilowej sytuacji psychicznej, lecz uchwyconej tak szczęśliwie w znamionach, że przypada do przekonania każdego człowieka jako wyraz prawdy życiowej.

Dzieło sztuki szczęśliwą zmysłową szatą trącając o nasze zmysły, harmonją i jednością form, powoływa uczucia nasze do gry i fantazję nie w innym celu, jeno w tym, by wniknąwszy aż do głębin duszy, wprowadzić do jej świadomości wszystką rozumową treść zasadniczej idei o wiele przystępniej, łatwiej i skuteczniej, niżby tego dokonać mógł najgłębszy i najzręczniej ułożony moralno-filozoficzny traktat o obowiązkach człowieka, o potrzebie poświęceń na rzecz publicznego dobra, lub tym podobnych kwestyj ściśle etycznej natury.

Dzieło z dziedziny artystycznej, obrażające uczucia i pojęcia moralne przestaje być dziełem sztuki—moralność, którąby obrażała poczucia i zasady piękna nie może być nawet pomyślaną; więc chociaż krytycyzm pedagogiczny posuwa się aż do tego, że zaprzecza estetycznemu wykształceniu wszelkiego moralno-wychowawczego wpływu, to przecież warunek niezbędny ładu, porządku i harmonji pojęć wszelkiego rodzaju w głowie jest atrybutem zarówno prostego rozumu jak i estetycznego ukształcenia.

Pozbawiać się czynników edukacyjnych tak potężnych jak sztuka, jest rownie błędem i szkodą, jak wszystko wychowanie oprzeć na jednym pedagogicznym dogmacie, choćby dogmacie estetycznego ukształcenia.

We wszystkiem trzeba zachować miarę—a zbytnia chęć oryginalnych pomysłów prowadzi prosto do absurdu lub głupstwa.

dr Władysław Seredyński.

HISTORJA KAPELUSZA.

(Naśladowane z C. T. Gellerta † 1769-go).

Księga pierwsza.

Jak zapewniają podania dziejowe,
Ten, co wynalazł nakrycie na głowę,
Za czasów swego żywota na ziemi
Nosił kapelusz z skrzydły zwieszonemi,
A jednak w aktach współczesnych wykryto,
Że go z powagą nosił należytą.

Gdy zmarł, syn jego kapelusza formę
Na inną zmienić postanowił normę:
Opuszczone skrzydła duże
Wywinął zatem ku górze,
A kiedy wyszedł w tem nakryciu głowy,
Lud z zachwyceniem spojrzał na to dziwo,
I krzyknął: „Oto jest mąż pomysłowy!
Teraz kapelusz ma formę właściwą!“

Zwyczajną drogą po ojcu i dziadku
Wnuk objął kapelusz w spadku,
Przymierza zatem na głowę
Owo nakrycie spadkowe.
Tak mu niedobrze i tak nie, i tak nie,
Wreszcie zawoła: „Wiem czego tu braknie!
Zaraz upiększę tę formę obrzydłą!“
I do dwóch pierwszych dodał trzecie skrzydło.
A lud zawołał w zachwycie:
„Patrzcie, widzicie,
Któżby wpaść zdołał na tę myśl przed laty,
Że najpiękniejszy kapelusz — rogaty!“

Przetrwał kapelusz aż trzech właścicieli,
Więc naturalnie nie był śnieżnej bieli.
Nowy sukcesor wnet to zauważa
I niesie go do farbiarza.
Gdy wyszedł w kapeluszu farbowanym czarno,
W całem mieście od pochwał zrobiło się gwarno,
„Głupstwem, niedorzecznością jest kapelusz biały,—
Zdumione tłumy wołały,
Kto chce chodzić jak wszyscy postępowi wierni,
Niech swój kapelusz uczerni!“.

Gdy po czwartym dziedzicu wziął nakrycie głowy
W spuściźnie sukcesor nowy,
Pełen inwencji, która dziedzictwem szła w rodzie,
Wnet dał hasło innej modzie,
Gdyż dodał guzik do kokardy z piórkiem,
Zmienił podszewki ceratowej lakier,
Brzegi obszył złotym sznurkiem
I zaczął nosić kapelusz na bakier.

A gdy w tym stroju wpadł ludowi w oko,
Wołano: „Cześć dla genjuszu!
Nigdy się jeszcze sztuka tak wysoko
Wzbić nie zdołała, jak w tym kapeluszu!“
I ten mąż w końcu, okryty siwizną
Zgasł, zostawiając kapelusz spuścizną,
Za każdą formy kapelusza zmianą
Kształt nowy w całym kraju przyjmowano,
Rozgłos mu dając najszerszy.
Tu niechaj będzie

Koniec księgi pierwszej.

Dalszej historji kapelusza przędzę
Snuć myślałem w drugiej księdze,
Chciałem opisać jak kapelusz stary
Przebył przekształceń bez miary,
Wciąż ulepszany dziedziców genjuszem,
I mimo to pozostał.. starym kapeluszem,
Widzę jednak, że kreśląc kolejno przechody,
Wszystkich tych przemian rozlicznych,
Pisałbym historję mody,
Albo też dzieje — szkół filozoficznych.

Wł. Sabowski.

PANI SOKRATESOWA.

CIEŃ SZKICU DO HUMORESKI NA SERJO.

1.

Jeżeli szkło udaje djament, albo żaba wołu, jest to zawsze szlachetnem dążeniem do ideału.

Jeżeli jednak ideał zostanie wskutek potwarzy dwudziestu wieków [1]) strącony do poziomu niskiego, jest to zbrodnią o pomstę do piórowładców wołającą.

Już dłużej tego na sobie nie przeniosę. Biorę dzidę stalową i staję jako rycerz w obronie niewinności, spotwarzanej od dwudziestu wieków [2]). Bo proszę:

2.

Jeżeli na placu Szczepańskim w Krakowie przekupka pani Jacentowa na pana Jacentego pomstuje i „tyrmosi go okropnie", to wówczas sąsiadka jej, pani Kunda, młoda wdóweczka! opowiada o niej w szynku: „to ci jest Xantypa!"

O pannie Filomeli, która jest „ciotką" do dzieci i do sług państwa Augustowskich, opowiadają siostrzenice i sługi: „ależ to Xantypa!"

Ilekroć dr Kłopotski nie przyjdzie do resursy, albo o godzinie 9-ej ucieka już do domu, mając kieszenie obładowane sprawunkami, to wtedy partnerzy jego wistowi śmieją się: „oho, już tam znowu na jego panią Xantypę przyszedł paroksyzm"...

No i tak bez końca Xantypa i Xantypa!

Cóż u djabła z tą Xantypą! Już mi tego zadużo! Co to jest takiego?

3.

Zacząłem tedy robić poszukiwania.

Cherchez la femme! I cóż się pokazało? oto, iż należy *chercher l'homme*. Tak jest; trzeba, żeby się świat raz prawdy dowiedział.

Słuchajcie.

4.

Był raz filozof, do tego grecki, poganin.

Ten miał żonę Xantypę, niewiastę wielce uczciwą, a nieszczęśliwą srodze.

Filozofy i profesory miewają zwykle dużo dzieci, niewiadomo poco i dlaczego... Znam ich stu; ci mają dzieci od trojga do dziewięciorga, tak, iż w przecięciu wypada na jednego $4\frac{1}{2}$. [3]) Więc ów Sokrates (tak mu było) posiadał ich $4\frac{1}{2}$. To ostatnie $\frac{1}{2}$ było najgorsze.

Wprawdzie u greczynów nie było tyle kłopotu z dziećmi, co teraz; byle szmatę na nie zarzucono, już i były ubrane... Ale ba! Ów Sokrates był sławny, odwiedzali go bankierzy i jenerałowie i książęta; więc dla honoru domu musiały dzieci wyglądać przyzwoicie; trzeba je było i ubrać i karmić, a nie było czem i nie było z czego! Trzeba je było i uczyć, iżby przecie ojcu nie robiły wstydu. Tymczasem biedna *madame* Sokrates, zakłopotana, nie mogła temu wszystkiemu podołać. Więc też dzieci, a zwłaszcza ostatnie $\frac{1}{2}$, rosły sobie dziko, wałęsały się po ulicach, zgłębiały rynsztoki w trzewikach, urządzały sobie gimnazja z wszystkimi łobuzami z sąsiedztwa, a nawet i z poza rogatek, i to czy deszcz, czy pogoda, wyglądały jak kominiarczyki, zaziębiały się, chorowały itd. itd. Pan filozof zaś, jak gdyby nigdy nic; ani go widu, ani słychu, jak dzień długi, nie ma go, pojawia się po północy, a rano znika; nierzadko też i wcale na noc nie przychodził!...

Madame płakała, chorowała, ze zgryzoty posiwiała, a potrzeb domu i dzieci opędzić nie mogła. No, więc rozumie się samo przez się, że jeżeli pan mąż-filozof zajrzał do domu i właził pod pierzynę, to *madame* musiała ze sposobności korzystać i starać się nawrócić go na dobrą drogę. Była wtedy wymowną, bo jej się też żółci zbierało całe litry! Więc odbywały się monologi:

— Przyszedłeś, no proszę, już? Lepiej się już nie kładź, boć przecie „różanopalczasta Eos już na niebie Apollina zwiastuje". Przyniosłeś co? nic, jak zwykle. Więc nie przestaniesz nigdy włóczyć się po rynku i po plantach [4]) z cudzymi wyrostkami, kiedy twoje dzieci własne, twoje, nie czyje, głodne i obdarte! Więc tamtych uczysz niby i do tego za darmo, kiedy twoje dzieci własne, rodzone, umieją pisać tylko nożem po meblach. A czegoż ty ich uczysz? Jakieś tam niebylice, djalogi platońskie; no, no, już ja się doczekam, że cię za tę propagandę jeszcze do kozy wsadzą... A mało ci dnia, jeszcze i po nocach bunlujesz; tak, niech tam żona chyba kradnie, a dzieci niech sną z głodu, byle tobie wino smakowało, i to gdzie? u panny Aspazji! Wstydziłbyś się, stary grzeszniku! Bywają tam Alcybiadesy i Peryklesy — to cóż z tego? alboż to co uczciwego? Niby senatory i ministry, a w gruncie lamparty. Słuchaj ty, powiadam ci, albo mi przestaniesz prowadzić to cygańskie życie, albo ci sandały zamknę i resztę grzywy nadwerężę... itd. itd.

Były to (powtarzam) monologi, gdyż on, filozof, nic nie odpowiadał, kozioł uparty, nawet nie słuchał, gbur jakiś, tylko... chrapał!

Więc któż miał rację, pytam się? Nie, nie pytam się; co tu pytać? Każda przyzna, iż „ona" miała rację. Wiemy też jaki był koniec tej gospodarki. Wzięli go do kozy; sumienie go ruszyło, kiedy już było zapóźno — no i otruł się!

I cóż się stało? Jak zwykle, „chłop za chłopem trzyma". Literaci, dziennikarze wzięli go w obronę, zrobili zeń męczennika, a na nią zaczęli psy wieszać, zamiast zarządzić składki. I tym sposobem już przez dwadzieścia wieków, jeżeli kto chce oznaczyć, iż jakaś niewiasta jest dokuczliwą, swarliwą, złą, to powiada jak w dym: o, to Xantypa".

Mój Boże! Raz jedna zdarzyła się Xantypa i cały świat wziął ją na języki, a do tego zupełnie bezprawnie. Jedną, jedyną, jaka się trafiła odkąd świat stoi, zrobiono zaraz typem, *nie mając innego wyboru*. Cóż to za niesprawiedliwość dla biednej pani Sokratesowej!

Ale z drugiej strony, jakie to świadectwo dla cnót i wdzięków całej płci nadobnej, skoro nigdy i nigdzie nie trafiła się już druga taka, któraby była mogła stać się typem — xantypowym?!

5.

Tak jest, bywały i bywają różne, ale xantypy już nie było.

Żydom umierali żony złe, skoro Salomon, mędrzec powiada: „zła żona jest jako kapanie deszczu przez dach." Brrr... pomyśleć sobie, że człowiek w łóżku usypia, a tu z góry na nos zimne krople: kap, kap. A któraż tam z jego trzystu żon tak mu dojadła?! Nazwiska nie podał...

Pani Klitemnestra zabiła męża od jednego razu; od owego czasu powtarza się ta operacja dosyć często, a przecież nikt sprawczyń Klitemnestrami nie nazywa.

Panna Medea dała się uwieść Jazonowi, potem osiadła na nagiej skale i skończyła mizernie. Od tego czasu niema dnia, żeby się jaka panna o skałę nie rozbiła, a czemuż „Medea" nie stała się dla nich przezwiskiem?

Mężatka Helena uciekła, wniosła awantury do familji drugiego męża, za życia pierwszego, spowodowała wojnę dziesięcio-letnią. Od owego czasu prowadzą rozmaite jejmościanki wielkie i małe wojny i intrygi; a czemuż im od Helen nie wymyślają!.. Czemu?!

Ponsard sfingował w dramacie, że żona Galileusza kołki mu na głowie ciosała. Wiemy, co o tem trzymać; Galileusz, to także filozof, nawet gorzej, astronom! Nieboszczyk Kochanowski pisał już fraszkę: „Na astronoma". W komedji w ogóle żony nakształt xantypy nie występują; tylko świekry.

W Szekspirze, w Goethem, w Schillerze, w Dantem nie ma ani jednej xantypy, choć się tam roi od niewiast.

A jakże u nas? Przyzna każdy, że xantyp nie było i nie ma ani na lekarstwo! Jacentowa, Filomela, Kłopotska, są to wszystko zacne damy, których nie wolno brać na języki. Od początku bywały u nas Wandy, Jadwigi, Barbary, Chrzanowskie, Platerówny, Klaudyny, Klementyny; słowem: *chapeau bas!* Xantypy żadnej! Bywały niewiasty: ciche, energiczne, ofiarne, potem pojawiły się meteory: kokietki, intrygantki, rozwódki, potem znów bohaterki, męczennice, anioły, a jakie teraz są? to już każdy dobrze wie i ślinkę połyka.

Panowie!

Stwierdzam, czyli jak się po naszemu mówi „konstatuję" iż w Polsce, xantypa, jako typ, jako zwy-

---

[1]) Po dokładne obliczenie proszę udać się do p. Wołodego Skiby — (*przyp. aut.*).

[2]) Po dokładne obliczenie... itd. jak wyżej.

[3]) Po dokładne obliczenie itd. jak wyżej.

[4]) Rynek-agora i portyki zastępowały w Atenach Lourse'a, Stępkowskiego i Saski ogród.

czajny narodowy produkt nie istnieje, nie istniała i nie będzie istniała.

Dokuczała Marysieńka ona celadonowi swojemu ale snać niebardzo przykre były te przykrości, skoro lew północy z takim afektem jej podwiki się trzymał. Bona była Mala, ta może ze wszystkich najgorsza i dla męża i dla syna i dla synowej, ale w końcu nic ostała się i aż się wyniosła za góry.

— W „Panu Tadeuszu", w Pasku—xantypy nie ma. Lecz, hola! Jest, mam ją, prawdziwą xantypę; djabeł przed nią uciekł; świadkiem Mickiewicz. Tak, djabeł uciekł, ale mężulek dobrodziej nią poniewierał, skoro ją chciał djabłu na rok odstąpić; to mi moralność! I cóż ona zeń miała? jakże się prowadził? Był to także filozof, mason, był to Donato, Herman, Siedlecki. bałamut, czarnoksiężnik, różnych też *mediów* używał i do króla ją wodził; a całą ojcowiznę przepuścił po karczmach, [1]) udając że nibyto złoto fabrykuje. Więc to wszystko miało pani Twardowskiej smakować?!

Jako żywo!

A zatem:

1. Małżonce Sokratesa dzieje się krzywda od dwudziestu wieków.

2. Gdyby nawet pani Xantypa była *Xantypą*, to i wtedy nie godziłoby się używać jej imienia na przezwisko. Albowiem choćby była ta jedna na tyle wieków, to cóż z tego, czy się rozrodziła? (Upraszam też p. Wołodego Skibę o obliczenie, jaki to ułamek z tej jednej, rozłożonej na całą ludzkość, na każdego z nas przypada. Nie ma o czem i mówić).

3. Należy więc raz już przestać nadużywać tego wyzwiska: Xantypa. Gdy jednak trudno jest ludziom *w całości* się czegoś oduczyć, a łatwiej *w części*, przeto proponuję na oznaczenie jakichś urojonych sekutnic dwie trzecie [2]) Xantypy czyli *Typę*. Tym sposobem nawet język polski zostanie naprawiony i uzupełniony. Boć jeżeli na pewne okazy męskie mówi się *Typ*, tak samo na pewne okazy żeńskie będzie się mówiło: *Typa*; będzie równouprawnienie, na które, spodziewam się, zgodzi się nawet p. Prus, lubo na punkcie niewiast wydaje się być srodze zacofanym. Myślę, że Akademja umiejętności, gdy się raz zabierze do regulacji języka, propozycję tę moją przyjmie z pocałowaniem ręki. W wypadkach zatem, w których dotąd mówiło się: „to ci", „ależ to", „oho już ta" — Xantypa, będzie się odtąd mówiło króciej: „to ci", „ależ to", „oho już ta"—Typa.

4. Wreszcie sądzę, że niżej podpisany tem samem zasłużył się tyle wobec każdej pokrzywdzonej niewinności, że wszystkie żeńskie *Typy* i *Nietypy* przyjmą go jednomyślnie na swojego rycerza, walczącego z odsłoniętą przyłbicą.

Wiedeń.

Alfred Szczepański.

Giełda i polityka.

Polityka i giełda to dwa—zdawałoby się zupełnie różne i odrębne pojęcia.

A jednak związek pomiedzy niemi jest tak ścisły, jak między palcami jednej ręki.

Polityka pracuje nad wyrównaniem stosunków międzypaństwowych, nad utrzymaniem równowagi pomiędzy grupami państw wspólnym złączonych interesem.

Giełda oznacza wartość pieniędzy jednego kraju wyrażoną w pieniądzach drugiego, czyli inaczej stosunek wartości rzeczywistej danych pieniędzy do ich wartości nominalnej, lub co na jedno wychodzi—do wartości najmniej zmiennej i wszystkim wspólnej—drogich metali—a mianowicie złota.

Na zmianę stosunku tego wpływa, oprócz stanu finansów danego państwa i jego ekonomicznego rozwoju, wiele innych okoliczności jak np. aljanse i przyjaźnie polityczne, wewnętrzne kraju urządzenia, stopień zaufania, jakie naród w kierownikach swojej nawy pokłada i gotowość pośpieszenia im w potrzebie z pomocą krwią i złotem.

Kurs renty francuskiej obniża się na giełdzie paryskiej—a za nią tembardziej i na innych—jeżeli w banku Francji zmniejsza się zapas złota, jeżeli zmniejsza się produkcja i wywóz, a zwiększa import, obniża się także i wrażliwiej może nawet, gdy polityka zewnętrzna rządu zdaje się prowadzić ku nieporozumieniom z innemi mocarstwami, gdy nowowprowadzane urzędzenia wewnętrzne nie znajdują uznania, jednem słowem, gdy się przedstawia jakiekolwiek, choćby najdrobniejsze prawdopodobieństwo przewidywania wojny zewnętrznej lub wewnętrznej, a z nią wielkich wydatków państwowych, przewrotów ekonomicznych, zastoju handlowego i t. p.

Giełda tedy ostrzega politykę o każdym jej błędnym, wątpliwym lub uznania nie znajdującym kroku, giełda **zwyżką lub zniżką kursów wyraża nadzieje i obawy,** jakie się rodzą z każdego, choćby najmniejszego poruszenia na szachownicy działań politycznych.

Giełda jest termometrem i busolą polityki...

Ileż to razy dla zbadania gruntu puszczano pogłoski polityczne—chcąc się dowiedzieć jak samo przypuszczenie jakiegoś faktu lub kombinacji oddziała na giełdy—i ileż to razy wstrzymywano się o ile się dało z dokonaniem zamiaru lub ujawnieniem dokonanego faktu, z obawy sądu giełdy.

Polityka i giełda to koło zaczarowane wzajemnych wpływów, to dwaj bracia siamscy, z których boleść lub radość jednego odbija się na twarzy drugiego.

Każdy działacz polityczny postępuje pewno jak Napoleon III-ci, codzień chwyta gorączkowo cedułę giełdy, wyczytując w niej uznanie lub potępienie swojego działania, czerpiąc wskazówki do dalszych czynów...

J. Włoskiewicz.

Z PAMIĘTNIKÓW r. 1883.

Książę-delfin niemiecki, powróciwszy z wycieczki swojej do najpiękniejszych ziem południa, zapewnia w przemowach do deputacji i w depeszach dziękczynnych do winszujących mu książąt, że podróż jego była wielkim faktem dziejowym, że państwom i ludom przyniesie ona błogie owoce, że od niej liczyć się będzie jakaś data w historji...

Tak więc r. 1883 zakończył się drażniącą zagadką. Data w historji — wielkie słowo... Wielkie słowo, gdy oznacza kolebkę idei lub prolog nowej ewolucji w utartym porządku faktów. Ten, kto księcia pruskiego pchnął nad brzegi Manzanaru i Tybru, należy bezwątpienia do rzędu ludzi, zdolnych *siłą* rozpoczynać epoki. Stworzył on ją dla Niemiec — czy stworzy dla świata?...

Z dwojakiego materjału budowały się dzieje: jedną cegłę dźwigały do ich wzniesienia narody, drugą państwa. Praca narodów — to cichy wątek myśli cywilizacyjnej, snutej z przędzy bezinteresownego natchnienia, które tworzy wedle praw niezbadanych a wiecznych wewnętrznego impulsu, nie dlatego, że twórczość przynosi procent, ale — że w duszy ludzkiej spoczywa zakopany gdzieś kiedyś kapitał niespożyty, którego okruchami *potrzeba* żywić pokolenia, w miarę jak przesuwają się przez kalejdoskop wieków... Praca tej kategorji nie przywiązuje się do celów i widoków pierzchliwej chwili, ona się nie spieszy, bo jej widnokręg nie ma końca, nie opóźnia się, bo w atmosferze ducha niema próżni. W tej pracy szukać należy zaczątków wszystkich prawd i przewrotów, które stanowiły *postęp* w historji.

Inaczej pracują państwa... Jeżeli naród wyobraża pierwiastek stały, formę niezmienną bytu, urągającą kaprysom przeznaczenia, bo wiecznie odmładzającą się z rdzeni wewnętrznej to państwa są wydmuchami przejściowych prądów, pianą zbierającą się na oceanie żywota, aby rozprysnąć się i zniknąć jutro... Jeżeli naród nazwalibyśmy duchem świata, to państwo byłoby jego ciałem. A ciało z prochu powstaje i w proch się obraca, jak mówi Kościół i myśliciel. Żaden interes nie trwa wiecznie, a państwo jest koalicją interesów. Dzieje państw rozważane na tle żywotnych w teraźniejszości pytań społecznych i politycznych, są pasmem anachronizmów, dzieje narodów — prawdą niespożytą.

I dlatego rozpadały się najsilniejsze organizmy państwowe, jeżeli budowa ich nie spoczęła na granitowej podwalinie narodu. Dlatego wszakże nie uroniło się w pogromach politycznych nigdy to, co było narodem w państwie.

Nauka dziejów każe nam sceptycznie patrzeć na szermierkę interesów państwowych z ideami ludów. Tryumfy pierwszych podobne są do wielkiej wrzawy — zwycięstwa drugich do tej cichej pracy przyrody, która morzu wykrada przestrzenie i użyźnia je trawą, napełnia świadectwami cywilizacji, przemysłu i kunsztu.

Jeżeli książę-delfin niemiecki pracował w Madrycie i w Rzymie nad dziełem, które liczy się z interesem narodów, natenczas niech dziękuje Opatrzności, która wybrała go na tłumacza swej woli i zwiastuna swych błogosławieństw. Dzieło, w którego budowie przeznaczono mu cząstkę pracy, widocznem będzie na długie czasy w historji, jak obelisk egipski. Jeżeli ci, co mają ambicję podyktowania światu jego przyszłych kolei, przyłożyli ucho do grobów, które przestrzegają, i do ciał żywych, które czują, natenczas uwierzymy, że dzieło pokoju i porządku będące w robocie *maestrów* politycznych, spocznie na podwalinie ze śpiżu i uśmiechnie się doń mile Psyche dziejowa.

Ale jeżeli pod hasłem pracy dla szczęścia powszechnego ukrywa się znikomy interes tej lub owej dynastji, jeżeli pojęciu „utwierdzenia podstaw zachowawczych społeczeństw" podłożono zużytą formę **reakcji, jeżeli program walki z anarchiczną zawie**ruchą wieku rozszerza się na żywioły, które tylko pozornie są nieładem a w gruncie rzeczy wyższym może porządkiem moralnym, natenczas praca podróży książęcej pójdzie na marne, jak poszło tyle robót pod hasłem interesu państwowego poczętych.

I wtedy heroiczny trud twój, biedna Irlandjo, aby zachować szczątki praw i własności, wydartych ci niegdyś przez feodalnych lordów Anglji, skuteczniejszym będzie, aniżeli otrąbiona przez heroldów idei państwowej na wszystkie kierunki wiatrów podróż księcia-delfina.

Bronisław Zawadzki.

---

*
* *

Ty jeden szanowny cieniu rodzica *Kurjera*, ty jeden niezapomniany Dmuszewski, przyglądający się dziennej i nocnej robocie naszej z wysokości „honorowej ściany", na której w trafnym błyszczysz konterfekcie, ty jeden ojcze widzisz na jak srogą skazany jestem dolę!

Podczas gdy lud wszelki gotując się do uroczystego święta rzuca warsztaty i narzędzia pracy i powierza się bez troski uciesze, a odpoczynkowi — ja tylko sam, mizerny czeladnik założonej przez cię kuźni znoić się muszę niedając skołatanej głowie i mdłemu ciału by najmniejszej folgi...

Oto, ojcze utonąłem cały w stosie rozmaitych odmian bibuły, oto przerzucam kartę za kartą i czynię ład pożądany w „korespondencji *Kurjera*", która tak obficie pada do naszej skrzynki — — — — — — trzeba bowiem sz. państwu wiedzieć, iż załatwianie „korespondencji" jest jednym z najgłówniejszych obowiązków sekretarza każdej porządnie uorganizowanej redakcji.

A ponieważ „my" jesteśmy bez zaprzeczenia „naj porządniej uorganizowani", przeto zlecono mi czynność odpisywania na wszystkie strony świata, jak niemniej straż nad „odpowiedziami od redakcji".

Z misji tej wywiązuję się jak mogę — czego wymownym dowodem przypisek do jednego z ostatnio otrzymanych listów brzmiący jak następuje: „No, no! Cóż za zmiana w polskich redakcjach?! Na ósmy z kolei list mój pisany z Paryża dnia 28-go czerwca r. 1879-go mam już dziś dnia 26-go grudnia roku 1883-go wyczerpującą odpowiedź?!"...

Tak jest — przewrotni niemcy wynaleźli „taniość i elegancję" — nam zaś przystoi patent za „szybkość i akuratność" z czego zresztą chwalić się nie myślimy.

Powiedziałby może Zoil jaki — a gdzież ich nie brak? — iż „szybkość i akuratność" mniej się uwydatniły na powyższym przykładzie listowania z Paryżem — wszakże my oparci na wewnętrznem przekonaniu, iż „gdzieindziej" nie lepiej się dzieje, bronić będziemy cnoty naszej do upadłego.

A widzieliście też szanowni czytelnicy w pierwszej zań linji piękne i młode czytelniczki (wszystkie są piękne i młode)—widzieliście też kiedy „korespondencję *Kurjera*" — ten olbrzymi zbiór: żądań, poleceń, próśb, skarg, upomnień, uwag i reklamacyj.

Nie? z pewnością nie?.. A! jeśli tak, postaramy się wtajemniczyć was w cząstkę takowego, w sekreta sekretarza. Sekret zaś zawsze ponętną jest rzeczą!..

Będzie to dla obu stron, o ile sądzę, pożytecznem —dla nas gwoli udowodnienia dlaczego wynaleźliśmy „szybkość i akuratność"—dla was..... ale o tem później...

Do dzieła więc! Weźmy pierwszy list z brzega. Szara koperta nosi stempel: Warszawa.

Panie redaktorze!

Pozwolisz iż jako jeden z najstarszych prenumeratorów małego niegdy *Kurjerka*, zrobię ci małą propozycję. Życie bieży obecnie szybszym pędem, chwila goni chwilę. Jesteśmy spragnieni wiadomości z stron bliższych i dalszych. *Kurjer* raz na dzień nam nie wystarcza. Czybyś przeto nie uznał za stosowne wydawać go rano i wieczorem, choćby przy podwyższonej nieco cenie? Mądrej głowie dość na słowie...

Jeden w imieniu wielu.

A oto drugi list list z przeciwnego brzega:

Wyzyskiwacze grosza ludzkiego! Opychacie się kosztem cudzej kieszeni, jeszcze wam za mało?! Dopókiż opinja tolerować będzie wasze haniebne sprawki? Cóż to znowu za „szwindel" z tem porannem wydaniem? Myślicie iż nas złapiecie? Nie ma głupich! Starego lichego *Kurjera* podzieliliście na dwie jeszcze lichsze części i mydlicie nam oczy dwoma „wydaniami". Znamy was paniczyki i wasze pyszne kawały. Wiedzcie iż od tej chwili przestaję należyć do stada baranów zwanych prenumeratorami *Kurjera* i proszę mnie natychmiast z waszej słynnej „dwudziestotysięcznej listy" wykreślić.

Bez uszanowania

Nie-fryc.

---

[1]) Patrz balladę Mickiewicza, bo pewnie nie znasz! (*przyp. aut.*)

[2]) Jabym raczej powiedział „cztery siódme". (*Przyp. p. W. Skiby*).

Zanim rozwiążesz zagadkę w jaki sposób można z „dwudziestotysięcznej listy" wykreślić *Nie-fryca*, podaję ci czytelniku trzecie pismo—na wonnym papierze...

Łaskawy panie!

Od dawnej a wiernej czytelniczki przyjm pan wyrazy serdecznej wdzięczności za obdarzenie nas porannem wydaniem. *Voila une bonne idée!* Szczególniej obowiązaną jestem za felieton powieściowy, który na przedpołudniowe nudy jest wybornem *passe-temps*... Mój poczciwy mąż bardzo też rad z rannego *Kurjerka*, jadąc bowiem na wizyty czyta sobie w karetce ostatnie wiadomości i telegramy, które, *entre nous soit dit*, nie zbyt mnie obchodzą. Proszę tylko tego „Zaklętego dworu" więcej, jaknajwięcej.

Idalja.

P. s. Zechce mi sz. pan odpowiedzieć, która to Nowińska w Galicji poszła za Piątkowskiego?

Teraz czwarty!

Panie Szymanowski!

Od lat 30-tu abonuję *Kurjera* i było mi z tem dobrze, od chwili wszakże ostatniej reformy straciliście moją sympatję. Bo kto was prosił o to ranne wydanie? Dajecie więcej bibuły zadrukowanej i cóż z tego? Nudna powieść nie dla mnie, a wiadomostki z bruku i telegramy mogę sobie wygodnie wieczorem przeczytać. Zresztą od lat 30-tu, jak powiedziałem, zasypiam wieczorem przy *Kurjerze* i tak zasypiać chcę! Rano do czytania żadna siła mnie nie zmusi. Zresztą z zasady za *Kurjerka* nie mogę tyle płacić co za *gazetę*, choćby w niej nic nie było. Z żalem przeto wypada mi opuścić sz. pana. Wyjątkowo z powodu terminu publikacji losowania listów zastawnych zatrzymuję abonament na ten miesiąc.

Dawny zwolennik
Piotr Nałęczowski,
b. komisarz b. komisji.«

Piąte posłanie brzmi znów inaczej:

Szanowna redakcjo!

Oburzony do żywego chwytam za pióro, aby was zapytać dla kogo *Kurjer* przeznaczacie? Chciejcie przeczytać *uważnie* ostatni ustęp wczorajszej kroniki Prusa i odpowiedzcie mi na moje zapytanie? Od tej chwili żaden ojciec rodziny pisma waszego córkom do ręki dać się nie ośmieli. Wstyd! wstyd!

W imieniu żony
Bończa Prztycki..

Byłżeby to ten sam Bończa Prztycki, którego list w lecie napisany mam właśnie w tece:

Panie redaktorze!

Ty, który wiesz wszystko musiałeś zapewne słyszeć, iż urządza się przyjacielska owacyjka z kolacyjką dla ulubionej primadonny z Eldorado, uroczej naszej .....osi. Chciej mnie zawiadomić dokąd mam się udać z moją ofertą, przykreby mi bowiem było ominięcie w tym względzie.

Uniżony sługa
Bończa Prztycki.

Siódmy:

Szanowny panie redaktorze!

Ponieważ wierzymy w *Kurjera* jak w wyrocznię, przeto zapytujemy Go jak się pisać powinno „z czarnymi wąsami" czy „z czarnemi wąsami". Za odpowiedź obowiązane będzie całe towarzystwo, należność zaś z podziękowaniem uiścimy.

Z szacunkiem
X. X.

P. s. Bylibyśmy sz. panu stokroć wdzięczniejsi, gdyby nam raczył odpisać czy pani adwokatowa Zmirska bawiła tego roku w Krynicy czy w Francensbadzie?

Idźmy dalej!

Mam cześć zwrócić mniemanie pańskie na p. Bogusławskiego który sobie od pewnego czasu zanadto pozwola. Pytam się za co znowu chwali pannę Czaki kiedy Wisnowska o wiele lepsza? Przecież taka opinja stwierdzona jest innymi poważnymi krytykami a nie takim p. Bogusławskim! Niech się pan poprawi bo będzie źle!

Piętnastoletni prenumerator.

Ma rację iż się nazywa *piętnastoletnim*...

A następny znów czego żąda—zapytacie?

Panowie!

Mniej o aktorkach, więcej o nauce. Rozszerzcie koło waszych współpracowników. Przygarnijcie siły młode! Konserwatyzm, jeśli chcecie, dobrym być może, ale w miarę. Uważam od pewnego czasu zbytnie pochylenie się w tym kierunku. Przypadek to—czy z umysłu? Porzućcie manjerę chwiejności. Nazywajcie rzeczy po imieniu. Dawajcie nazwisko tam, gdzie tego wymaga potrzeba. Śmiało! A unikajcie germanizmu.

Obserwator.

List ze środka brzmi:

Szanowny *Kurjerze!*

Niedajcie się obałamucać, trzymajcie się dawnych ludzi znanych i wyprobowanych. Z przykrością dostrzegłem na szpaltach twoich kilka firm zupełnie nowych. Dokąd to prowadzi? Przytem zalecam wam większą ostrożność. Unikajcie jaskrawszych faktów, podawania nazwisk—to drażni, zniechęca i do rezultatu nie prowadzi. O kobietach odzywajcie się rzadziej. Zostawcie to *Bluszczom* i *Tygodnikom mód*. Pamiętajcie zawsze jaki na was ciąży odpowiedzialność.

Ostrożny.

P. s. „Germanizmów" teraz uważam mniej—ale za to „gallizmów" pełno!

Papier *quasi* urzędowy — nie! to blankiet Banku, lecz sprawa prywatna.

Wielmożny Panie!

Jako stały prenumerator ośmielam się zapytać szanownego pana: jak można znaleść mamkę, gdyż od dwóch dni szukam jej naprożno w *Kurjerze*.

Z winnym szacunkiem
Modest R.

P. s. Kolega mój prosi mnie o dowiedzenie się w redakcji gdzie teraz przebywa Rembertowski?

Prenumeratę na przyszły miesiąc uiścimy niezawodnie.

A ten znów z brzega:

Szanowny panie redaktorze!

Bardzo się dziwię jak pan może przepuszczać ciągłe wzmianki, napozór niewinne, o nadużyciach ze strony żydów w handlu po wsiach i miasteczkach. Czy to duch z *Rolą* jest? Czy to tak po obywatelsku? Robię pana uważnym, iż w ten sposób może pan stracić wielu swoich kundmanów.

Bardzo dawny prenumerator
K. D.

Teraz z drugiego brzega:

Potężna redakcjo!

Zamiast — żyd, piszecie „starozakonny" lub „izraelita". A to co znowu za moda? Czy nie zdajecie sobie sprawy z tego gdzie i dla kogo drukujecie? Hola panowie — nie zapominajcie, iż istnieje jeszcze *Rola*, która kości wasze porachować potrafi! Nie chciejcie nas tylko uczyć rozumu, my i bez was damy sobie radę. Abdykujcie póki czas — łatwo bowiem spadniecie z tego sztucznego konia.

N. N.

Któryś tam z kolei opiewa:

Nie wiem czy to do redakcji należy, ale jako do najwyższej instancji udaję się z prośbą o polecenie chłopakowi z Alei Belwederskiej, aby wcześniej trochę odnosił *Kurjera*. Wychodzę z domu o godzinie 8½. Już o 7-ej mam herbatę, a *Kurjera* ani śladu! Pomyślcie: przyzwyczajenie to druga natura — więc i za *Kurjerem* człowiek tęskni.

Obowiązany sługa
Urzędnik.

Pod tem pismem znajduje się drugie:

Redakcjo, administracjo, ekspedycjo!

Czyście się wściekli z tem nasyłaniem o świcie *Kurjera?* Szelma chłopak już od godziny 6-ej rano szarpie dzwonkiem, a mnie się wnętrzności przewracają! Dość mam tego szczęścia skoro o 10-ej do śniadania mi go przyniosą.

Emeryt.

Na błękitnej „korespondentce":

Kto się kryje pod pseudonimem „Stenio"? Proszę jak najprędzej odpowiedzieć jego prawdziwej wielbicielce

Ciekawej.

Szara „korespondentka" utrzymuje:

W imieniu całego grona czytelniczek prosimy redakcję o zaprzestanie umieszczania artykułów p. Stenio, bo nudne i obrażające.

Czytelniczka.

Ps. Czy p. Prus jest żonaty, blondyn czy brunet?

Na groszowym arkuszu przesłanym bez koperty:

Panie redaktorze!

Proszę mi zaraz odpowiedzieć:

1) Co mam zrobić z rękawiczkami które pożyczyłem wczoraj na wieczorze u gospodarza domu, a już się zbrukały?

2) Wiele lat ma Kochańska?

3) Kto wprowadził w modę kołnierzyki stojące i kiedy? (stoi o to gruby zakład!)

4) Czy pannę która daje mi rękę do całowania, mogę uważać za życzliwą mojej osobie?

5) Czy ten Schwarz co wynalazł proch zostawił dzieci i czy Piotr Schwarz, buchalter w Kaliszu jest jego krewnym?

6) Dlaczego mówi się „kokosowy interes?"

Karol T.

P. s. *Kurjer* jest teraz bardzo nudny i głupi, dlatego idziemy gdzieindziej.

Uf—a może ten z stampilją: *Piotrków.*

Szanowni redaktorowie!

Przesyłając prenumeratę roczną, ośmielam się poradzić sz. pp. abyście nas mniej karmili: literaturą, sztuką, teatrem i brukiem. Kwestje społeczne, miejskie, to grunt! Rachujcie się z waszymi prowincjonalnymi przyjaciołmi, których z trudem zyskaliście lecz łatwo postradać możecie.

Z poważaniem
Dołęga.

P. s. Polecam kwestję konkurencji amerykańskiej, o wiele ważniejszą od koncertów, Modrzejewskich i t. p.

Jeszcze jeden:

Przy zbliżającym się nowym roku przyjmcie od starego, najstarszego może waszego prenumeratora serdeczne życzenia i wyrazy gorącej sympatji. Nie zrażajcie się trudnościami, idźcie jak dotąd z wiarą naprzód, a dojdziecie do celu!

Wasz
W.

Przyniesiony przed chwilą:

Szanowny redaktorze!
Bodaj was djabli wzięli!

Z p. N. R.

A dalsze?...

— — — — — Ty jeden szanowny cieniu rodzica *Kurjera*, ty jeden niezapomniany Dmuszewski, przyglądający się dziennej i nocnej robocie naszej z wysokości „honorowej ściany," na której w trafnym błyszczysz konterfekcie, ty jeden ojcze widzisz na jak srogą skarany jestem dolę...

Ut supra.

Sekretarz redakcji K. W.

— Złożyli w redakcji *Kurjera warszawskiego*:

W miejsce składania powinszowań noworocznych dla najbiedniejszych.

Ignacy i Bronisława Offmańscy rs. 2, Filip Daszkiewicz-Bortnowski rs. 1, Ignacy Plewiński z żoną rs. 1, Laura Kozłowska rs. 1, Władysław Sabowski z żoną rs. 1.

Na wpis dla niezamożnych uczniów.

Feliks Teplicki z żoną rs. 1, Maksymiljan Fajans z żoną rs. 3, Gustaw Paprocki rs. 2, Teodor Trenkler rs. 3, Władysław Bogusławski z żoną rs. 1, dr Władysław Bruner rs. 1, Stanisławowie Filipkowscy rs. 5.

Na szpitalik dziecięcy.

Piotr i Aleksandra z Leów Wertheimowie rs. 5, W. L., F. L. z Mokotowa rs. 3, Maurycy i Cecylja Bormanowie rs. 3.

Na budowę gmachu dla Towarzystwa zachęty sztuk pięknych.

Teodor Wierzbowski rs. 2.

Dla paralityków.

Antoni i Stanisława Jacuńscy rs. 2, Demeszkan rs. 2.

Dla stowarzyszenia pań miłosierdzia św. Wincentego a Paulo.

Konstanty hr. Przeździecki rs. 10.

— *Dopełnienie.*—Wskutek pośpiechu w podawaniu ofiar do druku i niewyraźnego częstokroć pisma, zaszły w rubryce tej omyłki, które prostujemy nadmieniając, iż *w miejsce rozsyłania powinszowań noworocznych* złożyli: *na rzecz Towarzystwa dobroczynności*, Stanisław i Emilja br. Lesserowie rs. 5; *dla wdowy Henikowskiej*, małżonkowie Aquilino rs. 10; *na szpitalik dziecięcy* Zofja i Włodzimierz Powichrowscy rs. 5, Emilja i Artur Bardzcy rs. 2; *na szpital imienia Bersonów i Baumanów*, Emilja i Artur Bardzcy rs. 2; *na nędzę wyjątkową*, Adam i Bronisława Łaniewscy rs. 3. Za omyłki te ofiarodawców przepraszamy.

TELEGRAMY WŁASNE
Kurjera Warszawskiego.

Wiedeń 31-go grudnia.

Wczorajszy zamach na kapłana jezuitę w kościele św. Jana był oddawna ułożonym. Wywołały go kazania wymierzone przeciw komunistom, bezbożnemu kultowi złota i porzuceniu dróg chrześcijańskich, w czem tkwi przyczyna pauperyzmu. Wzburzone tłumy ludności otaczały dzisiaj przez cały dzień świątynię. W ciągu dnia nastąpiły dalsze aresztowania. Kościół zamknięty.

Budapeszt 31-go grudnia.

Pester Lloyd donosi, iż dr Bloch (rabin z Floridsdorfu, wybrany posłem z Kołomyi, *przyp. red.*) postawi w delegacji galicyjskiej wniosek tej treści: „Klub narodowości polskiej uznaje język niemiecki jako państwowy, wszakże Galicja wyjętą jest od praktycznego zastosowania tej zasady."

Paryż 31-go grudnia.

W kołach orleańskich zajęto się gorliwie nową organizacją komitetów stronnictwa. W całej Francji założone zostaną dzienniki, poświęcone propagandzie sprawy orleańskiej.

Londyn 31-go grudnia.

Times piszą: Chiny gotowe są do uznania faktów,

ale nie odstąpią ani piędzi terytorjum na północnym zachodzie Czerwonej rzeki i nie pozwolą na zajęcie Bakninh. O posiadaniu Sontay rozstrzygnąć powinien rozjemczy wyrok Anglji. W Bakninh brakuje żywności. Do Sontay powróciło 1,200 zbiegłych mieszkańców.

Londyn 31-go grudnia.

Z Kairu telegrafują: „Powstańcy zaatakowali dnia 28-go b. m. w Gezireh koło Berberu załogę złożoną z dwóch kompanji baszybuzuków. Przybyłe w pomoc plemiona Biszarim i Kamilat odbiły załogę. Zaciekła walka trwała przez sześć godzin. Komendant poległ. Niebezpieczeństwo zaskoczenia Berberu uchylone. W Chartumie panuje ruch gorączkowy około wzmocnienia i uzupełnienia fortyfikacji."

Petersburg 31-go grudnia.

W kwestji odpowiedzialności zarządów kopalnianych za wydarzające się nieszczęśliwe wypadki, postanowiono wyjednać obowiązkowe naznaczanie ekspertów do prowadzenia śledztwa, przyczem odpowiedzialność w drodze cywilnej zaciąży jedynie na właścicielach zakładów kopalnianych.

TELEGRAMY HANDLOWE.

Berlin 31-go grudnia, godzina 7 m. 5 wiecz.

Czynności giełdowe odbywały się bardzo spokojnie, ruch bardzo słaby. Wartości spekulacyjne utrzymały się przy kursach dni poprzednich. Kolejowe również dosyć dobrze. Ruble z powodu nieprzyjaznych wiadomości, jakie nadeszły w ciągu trwania giełdy, pod uciskiem zostawały. Wartości rosyjskie utrzymały się. Kredytówki nieco niżej. Żyto natomiast nieco droższe.

Berlin 31-go grudnia, g. 5 m. — wieczór (*notowanie urzędowe giełdy*).

Bilety banku rosyjs. w tranz. natychm.	197.40
Weksle na Warszawę	197.10
Weksle na Petersburg krótkoterminowe	196.20
Weksle na Petersburg długoterminowe	194.50
Bilety banku ros. na dostawę	197.25
Wschodnia pożyczka II-ej emisji . . .	55.40
Akcje kredytowe.	494.—
Listy zastawne serja I-sza.	60.70
Weksle na Londyn krót.	—.—
„ „ długot..	—.—
Żyto z dostawą we wrześ.—paźdz. .	149.50
Żyto w kwietniu—maju	150.25

Więcej niż się spodziewano obniżyły się ruble na giełdzie berlińskiej. Zeszły one w tranzakcjach końcomiesięcznych aż do 197.25. Kurs ten odpowiada notowaniu 50.67 za 100 marek. Stosownie do tego jeżeli stan ten przetrwa do dnia jutrzejszego, kursa walut obcych podnieść się będą musiały na giełdzie warszawskiej. Kursa dnia poprzedniego: 197.80, 197.75, 495.50, 149, 150.

J. Wł.

CENY ZBOŻA.

dnia 31-go grudnia roku 1883 na stacji „Praga" drogi żelaznej warszawsko-terespolskiej.

Pszenica wyborowa 135—143, średnia 118—132, ordynaryjna 105—115.

Żyto wyborowe 97 — 99, średnie 94—96, ordynaryjne 85—92.

Jęczmień wyborowy 102—107, średni 90—98, ordynaryjny —.—.—.

Owies wyborowy 86—89, średni 80—85, ordynaryjny 70—75.

Gryka 89 — 100. **Groch** 109 — 119. **Kasza jaglana** wyborowa 140 — 150, średnia 132 — 138, ordynaryjna 120—130.

B. Werner et Comp.

ZADANIE ALGEBRAICZNE.

Jeżeli liczbę egzemplarzy *Kurjera* wysyłanych na prowincję podzielić kolejno przez 32, 42 i 48 i do otrzymanych ilorazów dodać kolejno 1, 14 i 40, to otrzymane liczby wskażą ilość egzemplarzy wysyłanych do Łodzi, Piotrkowa i Lublina. Jeżeli zaś różnicę egzemplarzy wysyłanych do Lublina i Piotrkowa pomnożyć przez różnicę egzemplarzy wysyłanych do Łodzi i Piotrkowa, to otrzymany iloczyn będzie o 12 mniejszy od podwójnej ilości egzemplarzy wysyłanych do Lublina. Jak wielka ilość egzemplarzy jest wysyłaną na prowincję w ogóle, a w szczególności do Łodzi, Piotrkowa i Lublina.

St. Dzierżanowski.

Jako nagrodę dla najpierwej nadsyłającego dobre rozwiązanie zadania, przeznacza się półroczna bezpłatna prenumerata: jedna dla Warszawy, druga zaś dla prowincji.

Ubiegający się o nagrodę winni są przysłać całkowite rozwiązania zadania, adresując takowe do administracji *Kurjera warsz.* pod lit. S. D.

SZARADA.

Przed nami rozrzuconych leży sylab cztery,
Z nich *pierwsza* i wspak *druga* zwyczajne litery,
Trzecia jest to rozrywka—gdy ją kto nieładnie
Jak p. K. wyzyskuje, łatwo w kłopot wpadnie.
Jeśli jednak przy *trzeciej* postawimy *czwartą*
Z rozrywki będą wagi. *Wszystkie* czytać warto
Tym zwłaszcza, którzy lubią wiadomości świeże,
A nie wiedzą, iż one są codzień w *Kurjerze.*

E. Skowroński.

KORESPONDENCJE PRYWATNE.

— *Bladej róży.* Pamiętasz dzień przeszłego Nowego Roku, pamiętasz tę uroczystą chwilę, w której złączono nasze dłonie? Niestety! wszystko rozwiało się jak sen nocy letniej! Tych słów kilka są dziś tylko przypomnieniem — niczem więcej, żyj szczęśliwa, jeśli potrafisz... *Krzak.*

Od Redakcji „KRAJU".

„KRAJ"

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY i LITERACKI,

wychodzić będzie w przyszłym 1884 r. w Petersburgu, na dotychczasowych warunkach,

POD REDAKCJĄ

ERAZMA PILTZA

przy głównym współudziale

Włodzimierza Spasowicza i Józefa Szyszło.

„KRAJ" obejmuje następujące działy: 1) **Artykuły wstępne** o bieżących sprawach politycznych, społecznych i ekonomicznych (pióra Włodzimierza Spasowicza, Kaz. Jarochowskiego, Wład. Nowakowskiego, Rom. Wierzchlejskiego, Józ. Szyszło, Józ. Tokarzewicza, Er. Piltza i innych); 2) **Przegląd polityki zagranicznej i ostatnie wiadomości**; 3) **Ziemie i kolonje słowiańskie** (kronika bieżąca z Galicji, Poznańskiego, Szlązka, Czech, Morawji, Kroacji, Słowenji, Serbji, Bulgarji, Czarnogórza i z ognisk życia polskiego zagranicą: w Austrji, Niemczech, Francji, Włoszech, Ameryce, Australji i t. d.); 4) **Stałe korespondencje „Kraju"**: z Warszawy (Bol. Prus, Rom. Wierzchlejski, Fil. Sulimierski, Fr. Nowodworski, H. Wernic i inni), z Łodzi (?); z Wilna (Rawicz, Józ. Sosna i Dr. T.); z Wołkowyskiego (W. Bud.); z Ihumeńskiego (Mel. Wańkowicz); z Kobryńskiego (Z...t); z Dziśnieńskiego (Ostoja); z Polesia mozyr. (R. Z.); z Mińska (Al. Jelski); z Białegostoku (Fr. Gliński); z Grodna (W. Z. K. i Forward); z Kowna (S. R. i Alterego); z Podola (Dr Antoni J.); z nad Tykicza (Jan Iłgowski); z Wołynia (hr. J. D. Karwicki); z Moskwy (Szpar.); z Żytomierza (Longinus); z Kijowa (R.); z Odesy (Wieniawa); z Kaukazu (ks. J. Dobkiewicz); z Syberji (* * *); ze Lwowa (Ha.); z Krakowa (Este); z Wiednia (G. Smólski); z Poznania (Kaz. Jarochowski); z Pragi czeskiej (Dr. Edward Jelinek); z Berlina (Sz).; z Paryża (T. R.); z Heidelberga (Jan Karłowicz); z Londynu (R. W.); 5) **Literatura, poezja, krytyka i artykuły społeczne**: Ad. Asnyk (El-y), Bartoszewicz Stan., Bełza Wład., Bogdanowicz Edm., Budkiewicz W., Doboszyński Miecz., Dygasiński Ad., Elzenberg Henr., Głowacki Al. (Bol. Prus), Gomulicki Wiktor, Grabowski E. Z., Dr Hertz Kar., Jankowski Czesław, Jarochowski Kaz., Dr Antoni J., Karłowicz Jan, Kościałkowska W. Z. K., Kotarbiński Józef, Kotarbiński Mił., Laskarys Jerzy, Librowicz Zyg., Lubowski Edw., Miłkowski Zyg. (T. T. Jeż), Miriam; Modesta Marek, Natanson Edward, Olszewski Franc., Oskierka Al., Ostoja, Orzeszkowa Eliza, Poznański Józ., Ptaszycki Stan., Przyborowski Wal., Rogosz Józ., Sienkiewicz Henr. (Litwos), Skiba Wołody, Smolka Stan., Smarzewski Tad.. Straszewicz Lud., Trepka Edm., Wojewódzki L., Wołowski Mich., Zacharjasiewicz Jan, Zakrzewska Ter., Zdziechowski Mar., Zgliński Daniel i inni. Do tej listy współpracowników możemy obecnie dodać czcigodne nazwisko **J. I. Kraszewskiego,** który listem datowanym z Drezna 28 październ. r. b., obiecał nam łaskawie swe współpracownictwo; 6) **Przegląd prasy** polskiej, rossyjskiej i zagranicznej; 7) **Wiadomości bieżące** (najnowsze rozporządzenia rządowe, projekty reform, zmiany w służbie rządowej i t. p., ze szczególnem uwzględnieniem kraju zachodniego); 8) **Kronika petersburska i prowincjonalna**; 9) **Kronika powszechna**; 10) **Nowe książki** (sprawozdania); 11) **Kronika ekonomiczna i handlowa** (A. Rp.); 12) **Ogłoszenia.**

Ponieważ „KRAJ" i w dziale społecznym i literackim stara się przedewszystkiem poruszać kwestje, mające związek z chwilą bieżącą, uważamy więc za niewłaściwe i za zbyteczne zapowiadać z góry, jakie mianowicie utwory literackie i społeczne, pomieścimy w przyszłym 1884 r., ograniczymy się na wyliczeniu niektórych tylko prac, któreśmy zawczasu dla siebie zamówili, jak np.: **J. I. Kraszewskiego,** „O cyklu powieści historycznych polskich" **T. T. Jeża,** dalszy ciąg „Dawnych wspomnień", **Elizy Orzeszkowej** powieść, osnutą na tle stosunków włościańskich kraju zachodniego, **T. Hodi'ego,** „Szkice z dziejów emigracji polskiej itd." W ogóle czujemy się w obowiązku oświadczyć, że jak dotąd tak i nadal starać się będziemy rozwijać i ulepszać pismo w miarę sił i środków naszych.

„KRAJ" wychodzi co tydzień, w niedzielę, w objętości 24 stronnic. **PRZEDPŁATA** wynosi w Petersburgu rocznie rs. **8,** półrocznie rs. **4,** kwartalnie rs. **2,** z przesyłką pocztową rocznie rs. **10,** półrocznie rs. **5,** kwartalnie rs. **2** kop. **50. Ogłoszenia** po **15** k. od wiersza. Przy wielokrotnych ogłoszeniach odstępuje się rabat. **Doniesienia** (w tekście), po **30** k. od wiersza. **N-ra pojedyncze** „Kraju" w sprzedaży ulicznej **20** k., na stacjach dróg żel. **25** kop. **Za zmianę adresu** pobiera się **28** kop. **Adres** Redakcji i Kantoru: „Redakcja polskoj gazety „Kraj" w Peterburgie, Ploszczad' B. Teatra, 10." **Warszawska Ajencja** „Kraju" (Rajchman i Frendler), Senatorska 18, przyjmuje ogłoszenia z Królestwa i zagranicy, przedpłatę zaś wyłącznie z Warszawy.

Redaktor i Wydawca ERAZM PILTZ.

W drukarni *Kurjera Warszawskiego*—Plac Teatralny nr 473c (nowy 5). Дозволено Цензурою. — Варшава 20 Декабря (1 Января) 1883 г.

Redaktor Wacław Szymanowski. — Sekretarz Redakcji Tadeusz Czapelski. — Wydawca Gustaw Gebethner.

KALENDARZ NA ROK 1884.

STYCZEŃ.

20	1	W.	**Nowy rok 1884.** Fulgen.
21	2	Ś.	Makarego Opata.
22	3	C.	Daniela M. i Genowefy P.
23	4	P.	Tytusa i Grzegorza B.
24	5	S.	Telesfora P. i Emiljanny ☽
25	6	N.	**Trzech Króli.**
26	7	P.	Lucjana M. i Teodora W.
27	8	W.	Seweryna Opata
28	9	Ś.	Marcjanny P. M.
29	10	C.	Agatona P. i Wilhelma B.
30	11	P.	Higina P. i Honoraty P.
31	12	S.	Arkadjusza M. ○
1	13	N.	***1 po 3 Kr.** Weroniki Panny.
2	14	P.	Hilarego D. K. i Feliksa.
3	15	W.	Pawła I Pustelnika
4	16	Ś.	Marcella P. i Ottona
5	17	C.	Antoniego Opata W.
6	18	P.	Katedry św. Piotra w Rzym.
7	19	S.	Kanuta Kr. i Henryka B.
8	20	N.	**2 po 3 Kr.** *Im. J.* Fabjana i
9	21	P.	Agnieszki P. M. [Seb. MM. ☾
10	22	W.	Wincentego i Anastaz. M.
11	23	Ś.	*Zaślub. N. M. P.* i Ildef.
12	24	C.	Tymoteusza B. M.
13	25	P.	Nawrócenie św. Pawła Ap.
14	26	S.	Polikarpa B. i Pauliny Wd.
15	27	N.	**3 po 3 Kr.** Jana Chryzost. B.
16	28	P.	Flawiana i Leonarda M. ●
17	29	W.	Franciszka Salezego B. D. K.
18	30	Ś.	Martyny P. M.
19	31	C.	Piotra Nolasko i Marcel.

LUTY.

20	1	P.	† Ignacego B. i Brygidy P.
21	2	S.	**Oczyszczenie N. M. P.**
22	3	N.	**4 po 3 Kr.** Błażeja B. M.
23	4	P.	Ansgarego i Andrzeja BB. ☽
24	5	W.	Agaty P. M.
25	6	Ś.	Doroty P. M. i Teofila.
26	7	C.	Romualda Op.
27	8	P.	Jana z Matty Wyznawcy.
28	9	S.	Apolonji P. M. i Cyrylla.
29	10	N.	**Starozap.** Scholastyki P.
30	11	P.	Lucjana Biskupa. ○
31	12	W.	Gaudentego B. W. i Eulalji.
1	13	Ś.	Juljana M. i Eufrozyny P.
2	14	C.	Walentego Kapł. Męcz.
3	15	P.	Faustyna i Jowity M.
4	16	S.	Julianny P. M.
5	17	N.	**Mięsop.** Sylw. B. i Don. M.
6	18	P.	Symeona Bisk. M.
7	19	W.	Konrada Wyzn.
8	20	Ś.	Eucherjusza i Leona B.
9	21	C.	Maksymjana Biskupa.
10	22	P.	Katedry św. Piotra w Ant.
11	23	S.	Piotra Damiana i Romany P.
12	24	N.	**Zapustna.** Sergjusza M.
13	25	P.	Macieja Apostoła.
14	26	W.	Sygfryda Biskupa. ●
15	27	Ś.	† *Popielec.* Aleks. B. i Fort. M.
16	28	C.	Leandra Biskupa.
17	29	P.	Romana Opata.

* Oznacza dni galowe.
† Oznacza wigilje i posty.

MARZEC.

18	1	S.	Albina B. i Antoniny M.
19	2	N.	**Wstęp.** Heleny Cesarz.
20	3	P.	Kunegundy Cesarzowej.
21	4	W.	Kazimierza Królewicza. ☽
22	5	Ś.	† Teofila Biskupa.
23	6	C.	Wiktora i Wiktoryna M.
24	7	P.	† Tomasza z Akwinu W.
25	8	S.	† Jana Bożego i Beaty P.
26	9	N.	***Sucha.** Franciszki Wdowy.
27	10	P.	40 Męczenników.
28	11	W.	Konstantyna Wyzn. ○
29	12	Ś.	Grzegorza Pap. D. K.
1	13	C.	Nicefora B. i Modesty P.
2	14	P.	* Matyldy Król. Wdowy.
3	15	S.	Longina Męczennika.
4	16	N.	**Głucha.** Cyrjaka D. i Tac. M
5	17	P.	Gertrudy P. i Patryka B
6	18	W.	Gabryela Arch.
7	19	Ś.	*Józ. Obl. N. M. P.*
8	20	C.	Archippa W. i Winc. B.
9	21	P.	Benedykta Opata
10	22	S.	Boguchwała i Oktaw.
11	23	N.	**Srodop.** Katarzyny Kr. Sz.
12	24	P.	† Marka i Tymoteusza MM.
13	25	W.	**Zwiast. N. M. P.** Iren. B.
14	26	Ś.	Ludgiera Bisk.
15	27	C.	Ruperta B. i Aleksandra ●
16	28	P.	Syxta P. i Doroteusza M.
17	29	S.	Cyrylla Djakona M.
18	30	N.	**Biała.** Kwiryna M. i Angeli.
19	31	P.	Balbiny P. i Kornelli M.

KWIECIEŃ.

20	1	W.	Teodory M. i Hugona B.
21	2	Ś.	Franciszka à Paulo. ☽
22	3	C.	Ryszarda Biskupa.
23	4	P.	*7 Bol. N. M. P.* Izydora B.
24	5	S.	Wincentego Fererjusza.
25	6	N.	**Kwietnia.** Wilh. Op. i Cel. P.
26	7	P.	Epifanjusza Bisk.
27	8	W.	Djonizego Biskupa.
28	9	Ś.	Marji Kleofy.
29	10	C.	*Wielki.* Ezechjela Pror. ○
30	11	P.	*Wielki.* Leona Pap. D. K.
31	12	S.	*Wielka.* Juljusza P. i Dam. B.
1	13	N.	**Wielkanoc.** Hermeneg. Kr.
2	14	P.	**Świętny.** Tyburc. i Waler.
3	15	W.	Anastazji i Bazylisy P
4	16	Ś.	Lamberta M.
5	17	C.	Aniceta Pap. i Męczennika
6	18	P.	Apolonjusza M ☾
7	19	S.	Hermogenesa M
8	20	N.	**Przewodnia.** Sulpicjusza M.
9	21	P.	Anzelma B. Dok. K.
10	22	W.	Sotera i Kaja M.
11	23	Ś.	Wojciecha B. Męcz.
12	24	C.	Jerzego M. i Fidelisa Kapł.
13	25	P.	Marka Ewangelisty ●
14	26	S.	Marcelina i Kleta Męcz.
15	27	N.	**2 po W.** *Grob. Chr.* Teofila B.
16	28	P.	Witalisa M. i Pawła od krz.
17	29	W.	Piotra Męczen.
18	30	Ś.	Katarzyny Seneńskiej.

MAJ.

19	1	C.	Filipa i Jakóba Apost.
20	2	P.	Zygmunta Kr. i Atanaz. ☽
21	3	S.	Znal. św. Krz. i Aleks. P. M.
22	4	N.	**3 po W.** *Op. ś. Józ.*, Flor. M.
23	5	P.	Piusa V Papieża. [Mon. Wd.
24	6	W.	Jana Ap. w Oleju.
25	7	Ś.	Domicelli Panny.
26	8	C.	**Stanisława Bisk. M.**
27	9	P.	Grzegorza B. Naz. D. K.
28	10	S.	Izydora Or. i Antonina B. ○
29	11	N.	**4 po W.** *N.M.P.Ł.* i Mam. B.
30	12	P.	Pankracego M.
1	13	W.	Serwacego B.
2	14	Ś.	Bonifacego M.
3	15	C.	Zofji z 3-a córkami.
4	16	P.	Jana Nepomucena i Ubalda.
5	17	S	Paschalisa Wyznawcy.
6	18	N.	***5 po W.** Feliksa Kap. ☾
7	19	P.	† Celestyna P. i Iwona W.
8	20	W.	† Bernardyna Sen.
9	21	Ś.	† Donata i Wiktora MM.
10	22	C.	**Wniebowst. P.** Julji P.
11	23	P.	Dezyderjusza B.
12	24	S.	Joanny Wdowy.
13	25	N.	**6 po W.** Grzeg. VII i Ur. P. ●
14	26	P.	Filipa Nereusza Wyzn.
15	27	W.	* Magdaleny de Pazzis.
16	28	Ś.	Germana B. [i Jana P.
17	29	C.	Teodozji Męcz.
18	30	P.	Feliksa P. M. i Ferdynanda.
19	31	S.	† Petronelli i Anieli PP. ☽

CZERWIEC.

20	1	N.	**Zesł. Ducha ś.** Fortunata.
21	2	P.	**Świętny.** Blandyny P. M.
22	3	W.	Erazma B. i Klotyldy.
23	4	Ś.	† Optata B. i Saturniny P.
24	5	C.	Bonifac. B. M. i Walerji M.
25	6	P.	† Norberta Biskupa.
26	7	S.	† Roberta Opata.
27	8	N.	**Trójcy św.** Maks. i Med. ○
28	9	P.	Pryma i Felicjana M.
29	10	W.	Małgorzaty Kr. Szkoc.
30	11	Ś.	Barnaby Apostoła.
31	12	C.	**Boże Ciało.** Onufrego Pust. i
1	13	P.	Antoniego z Padwy. [Eschila.
2	14	S.	Bazylego Biskupa Dokt. K.
3	15	N.	**2 po Sw.** Wita i Modesta M.
4	16	P.	Benona B. i Justyny P. ☾
5	17	W.	Adolfa Bisk. i Marcjana.
6	18	Ś.	Marka i Marceljana M.
7	19	C.	Gerwaz. i Protaz. MM.
8	20	P.	*Serc. Jez.* Sylwerjusza Pap.
9	21	S.	Alojzego Gonzagi.
10	22	N.	**3 po Sw.** Paulina Biskupa.
11	23	P.	Agrypiny Panny M. ●
12	24	W.	*Narodz. św. Jana Chrz.*
13	25	Ś.	Prospera Biskupa.
14	26	C	Jana i Pawła MM.
15	27	P.	Władysława Króla Węg.
16	28	S.	† Ireneusza B. i Leona P.
17	29	N.	**4 po Sw. Piotr. i Pawł. A.**
18	30	P.	Emilji i Lucyny PP. ☽

LIPIEC.

19	1	W.	Teodoryka Kapł.
20	2	Ś.	*Nawiedzenie N. M. P.*
21	3	C.	Heljodora i Anatoljusza B.
22	4	P.	Józefa Kalasantego W.
23	5	S.	Cyryla i Metodego B.
24	6	N.	**5 po Sw.** Dominiki Panny M.
25	7	P.	Apolonjusza i Wilibalda. B.
26	8	W.	Elżbiety W. i Kiliana B. ○
27	9	Ś.	Cyrylla B. i Anatolji M.
28	10	C.	7 braci MM. synów Felicyty.
29	11	P.	Sabina W. i Pelagji P. M.
30	12	S.	Jana Gwalberta Opata.
1	13	N.	**6 po Sw.** *Jana z D.* i Małg. P.
2	14	P.	Bonawentury B.
3	15	W.	Rozesł. Ap. i Henr. C. ☾
4	16	Ś.	*N. M. P. Szkaplerznej.*
5	17	C.	Aleksego Wyznawcy.
6	18	P.	Szymona z Lipn. i Kamilla.
7	19	S.	Wincentego à Paulo W.
8	20	N.	**7 po Sw.** Eljasza Pr. i Czesł.
9	21	P.	Praksedy P. i Daniela Pr.
10	22	W.	Marji Magdaleny. ●
11	23	Ś.	Apolinarego B. M.
12	24	C.	Krystyny P. M.
13	25	P.	Jakóba Ap. i Krysztofa M.
14	26	S.	*Anny Matki N. M. P.*
15	27	N.	**8 po Sw.** *Kun. Kr. P.* i Nat.
16	28	P.	Innocentego P. i Celsa M.
17	29	W.	Marty i Serafiny P. ☽
18	30	Ś.	Abdona i Senneny MM.
19	31	C	Ignacego Lojoli W. i Heleny

SIERPIEŃ.

20	1	P.	Piotra w Okowach.
21	2	S.	*N. M. P. Aniel.* i Alfonsa
22	3	N.	***9 po Sw.** Znal. św. Szczep.
23	4	P.	Dominika Wyzn.
24	5	W.	*N. M. P. Śnieżnej.*
25	6	Ś.	*Przemienienie Pańskie.*
26	7	C.	Kajetana W. i Donata B. ○
27	8	P.	Cyrjaka i Larga.
28	9	S.	Romana M.
29	10	N.	**10 po Sw.** Wawrzyńca M.
30	11	P.	Zuzanny i Dygny Panien.
31	12	W.	Klary Panny.
1	13	Ś.	Hipolita i Kasjana MM.
2	14	C.	† Euzebjusza Wyznawcy. ☾
3	15	P.	**Wniebowz. N. M. P.**
4	16	S.	Rocha Wyznawcy.
5	17	N.	**11 po Sw.** Jacka W. Anast. B.
6	18	P.	Agapita Męczennika.
7	19	W.	Rufina Wyznawcy.
8	20	Ś.	Bernarda Op. D. K. ●
9	21	C.	Joanny Fremiot Wd.
10	22	P.	Symforjana M. i Tymoteusza.
11	23	S.	Filipa Benicjusza Wyzn.
12	24	N.	**12 po Sw.** Bartłomieja Ap.
13	25	P.	Ludwika Króla.
14	26	W.	Zefiryna P. M.
15	27	Ś.	*Przen. Ś. Kaź.* i Cezarjusza.
16	28	C.	Augustyna Bisk. D. K. ☽
17	29	P.	Ścięcie ś. Jana Chrz. i Sab.
18	30	S.	Róży Lim. P. i Feliksa M.
19	31	N.	**13 po Sw.** *Poc. N. M. P.*

WRZESIEŃ.

20	1	P.	Idziego Opata.
21	2	W.	Stefana Króla Węg.
22	3	Ś.	Bronisławy P.
23	4	C.	Rozalji Panormit. P.
24	5	P.	Wawrzyńca Justyniana B. ○
25	6	S.	† Zacharjasza Proroka.
26	7	N.	**14 po Sw.** Reginy Panny M.
27	8	P.	**Narodz. N. M. P.**
28	9	W.	Gorgonjusza M.
29	10	Ś.	Mikołaja z Tolent. Wyzn.
30	11	C.	* Prota M. i Emiljana B.
31	12	P.	Walerego i Salezego M. ☾
1	13	S.	Mauryljusza Bisk.
2	14	N.	**15 po Sw.** *Im. Marji* i *Podw.*
3	15	P.	Nikodema Kapł. M. [*św. Kr.*
4	16	W.	Cyprjana B. i Eufemji.
5	17	Ś.	† 5 blizn ś. Franciszk. i Just.
6	18	C.	Józefa z Kopertynu.
7	19	P.	† Januarjusza B. Męcz. ●
8	20	S.	† Eustachjusza M.
9	21	N.	**16 po Sw.** *N. M. P. Bol.* Mat.
10	22	P.	Maurycego M.
11	23	W.	Tekli Panny M.
12	24	Ś.	*N. M. P. od wyz. niew.*
13	25	C.	Aurelji Panny i Kleofasa M.
14	26	P.	Cyprjana M. i Justyny P.
15	27	S.	*Przen. ś. St.* Kosmy i Dam. ☽
16	28	N.	**17 po Sw.** *Ład. z G.* i Wacła-
17	29	P.	Michała Arch. [wa Kr. Czesk.
18	30	W.	Hieronima K. i Zofji Wd.

PAŹDZIERNIK.

19	1	Ś.	Remigjusza B. W.
20	2	C.	Aniołów Stróżów.
21	3	P.	Kandyda Męczennika.
22	4	S.	Franciszka Serafick. ○
23	5	N.	**18 po Sw.** *N. M. P. Róż.* Plac.
24	6	P.	Brunona Wyzn.
25	7	W.	Justyny P. M.
26	8	Ś.	Brygidy Wdowy.
27	9	C.	Bogdana Op. i Dyonizego.
28	10	P.	Franciszka Borg. i *Zwycięz.*
29	11	S.	Placydy P. [*pod Chocim.* ☾
30	12	N.	**19 po Sw.** *Winc. K.* i Maks B.
1	13	P.	Edwarda Kr.
2	14	W.	Kaliksta P. M.
3	15	Ś.	Jadwigi Wd. i Teresy P.
4	16	C.	Florentyna Biskupa.
5	17	P.	Wiktora Biskupa.
6	18	S.	Łukasza Ewangelisty.
7	19	N.	**20 po Sw.** *Jana K.* i Piotra ●
8	20	P.	*Przen. św. Wojc.* i Ireny P.
9	21	W.	Urszuli P.
10	22	Ś.	Korduli P. i Alfonsa B.
11	23	C.	Jana Kapistrana Wyzn.
12	24	P.	Rafała Archanioła.
13	25	S.	Kryspa i Kryspiana MM.
14	26	N.	**21 po Sw.** Ewarysta Pap.
15	27	P.	Sabiny M. ☽
16	28	W.	Szymona i Tadeusza.
17	29	Ś.	Narcyza B. i Euzebji P.
18	30	C.	Zenobji P. i Zenobjusza B.
19	31	P.	† Wolfganga Biskupa.

LISTOPAD.

20	1	S.	**Wszystkich Świętych.**
21	2	N.	**22 po Sw.** Wiktoryna B.
22	3	P.	*Dzień Zadusz.* Huberta B. ○
23	4	W.	Karola Bor. i Emeryka.
24	5	Ś.	Zacharjasza i Elżb. Małż.
25	6	C.	Leonarda Wyzn.
26	7	P.	Wilibrarda Biskupa.
27	8	S.	Godfryda B. i 4 Koronat.
28	9	N.	**23 po Sw.** *O.N.P.M.* Teodora
29	10	P.	Andrzeja z Awelinu W. ☾
30	11	W.	Marcina B.
31	12	Ś.	5 Br. Pol. MM.
1	13	C.	Dydaka W.
2	14	P.	Serapiona M.
3	15	S.	Leopolda Wyzn.
4	16	N.	**24 po Sw.** *St. Kost.* i Edm. B.
5	17	P.	Salomei P. ●
6	18	W.	Maksyma B.
7	19	Ś.	Elżbiety Kr. W.
8	20	C.	Feliksa Walezjusza W.
9	21	P.	*Ofiarowanie N. M. P.*
10	22	S.	Cecylji Panny M.
11	23	N.	**25 po Sw.** Klemensa P.
12	24	P.	Jana od Krzyża Wyzn.
13	25	W.	Katarzyny P. M. ☽
14	26	Ś.	* Piotra i Aleksandra B. M.
15	27	C.	Barlaama i Józefata Pust.
16	28	P.	Mansweta B. i Rufa M.
17	29	S.	Saturnina Męczennika.
18	30	N.	**1 Adw.** Andrzeja Ap.

GRUDZIEŃ.

19	1	P.	Eligjusza Bisk.
20	2	W.	Bibjanny Panny M. ○
21	3	Ś.	Franciszka Ksaw. W.
22	4	C.	Barbary P.
23	5	P.	Piot. Chryzol. i Sabby Op.
24	6	S.	† Mikołaja Biskupa Wyzn.
25	7	N.	**2 Adw.** Ambrożego B.
26	8	P.	**Niep. Pocz. N. M. P.**
27	9	W.	Leokadji i Walerji. ☾
28	10	Ś.	† *N. M. P. Loret.*
29	11	C.	Damazego Pap. W.
30	12	P.	† Synezjusza i Aleksandra M.
1	13	S.	Łucji Panny M.
2	14	N.	**3 Adw.** Spirydjona B. W.
3	15	P.	Ireneusza Męczennika.
4	16	W.	Euzebjusza B. M. i Albiny P.
5	17	Ś.	† Łazarza B. ●
6	18	C.	* Gracjana Bisk.
7	19	P.	† Fausty Wdowy.
8	20	S.	† Teofila Męczennika.
9	21	N.	**4 Adw.** Tomasza Apost.
10	22	P.	Zenona i Flawjana M.
11	23	W.	Wiktorji P. M.
12	24	Ś.	† *Wigilja.* Zenobjusza
13	25	C.	**Narodzenie Chr. Pana.** ☽
14	26	P.	**Szczepana Męczennika.**
15	27	S.	Jana Ewangelisty.
16	28	N.	**Po Nar.** Młodzianków.
17	29	P.	Tomasza Kantuaryjsk.
18	30	W.	Eugenjusza Biskupa.
19	31	Ś.	Sylwestra Papieża.

Wykład znaków kalendarskich: Nów ●. — Pierwsza kwadra ☽. — Pełnia ○. — Ostatnia kwadra ☾.